

# Michal Friedman

[Moi rodzice](#)

[Moi dziadkowie](#)

[Dzieciństwo](#)

[Życie religijne w Kowlu](#)

[Historia Żydów w Kowlu](#)

[Lata szkolne](#)

[Uniwersytet](#)

[W czasie wojny](#)

[Wyzwolenie Warszawy](#)

[Moja żona Teresa](#)

[Praca jako tłumacz oraz nauczyciel języków żydowskich](#)



## Moi rodzice

Pochodzę z miasteczka Kowel, choć mój ojciec urodził się w Brześciu. Tam uczęszczał do rosyjskiej szkoły zawodowej, gdzie nauczył się obróbki metalu. Zbudował między innymi jeden z największych i najpiękniejszych dworców kolejowych na tzw. Kresach Wschodnich. W Kowlu poznał moją mamę, która była niezwykle piękną kobietą. Owocem ich małżeństwa były dwie córki oraz ja, jedyny syn.

Moja mama była o pięć lat młodsza od taty. Obydwoje urodzili się w latach 80. XIX wieku. Moja mama nazywała się Szosze Henia, ale w dokumentach figurowało imię Gienia; panieńskie nazwisko mamy brzmi Bokser. Mój ojciec nazywał się Aron Samuel Friedman. Mama robiła kapelusze. Ponadto szyła eleganckie suknie. Wszystkie jej kreacje były najwyższej jakości i najmodniejsze w całej Warszawie. Do mamy przychodziły zawsze bogate kobiety, takie jak żona właściciela młyna czy olejarni. Czasami zatrudniała trzy osoby, w tym dwie pracowały regularnie. Pracownia mamy mieściła się w naszym mieszkaniu - mieliśmy trzy maszyny do szycia firmy Singer. Mama miała bardziej stałe dochody niż ojciec. Była naprawdę niesamowitą kobietą. Po śmierci ojca w połowie lat 30. XX wieku, mama pracowała na utrzymanie całego domu. Miała trzy siostry (nie pamiętam ich imion) oraz jednego brata, który nazywał się Jidl. Wszyscy mieszkali w Ameryce i od czasu do czasu przesyłali nam parę dolarów.

Jak na tamte czasy ojciec był wykształconym człowiekiem, jako że ukończył szkołę zawodową. Pracował przy budowie stacji kolejowej. Po jej ukończeniu otworzył sklep z wyrobami metalowymi, który prowadził z innym Żydem. Zatrudniali dwóch praktykantów. Z czasem mieli coraz mniej zleceń, więc pod koniec lat 20. XX wieku ojciec zaczął pracować dla angielskiej firmy Red Star Line. Była jeszcze jedna firma - White Star Line. Obydwie zajmowały się przewozem emigrantów do Ameryki. Po zakończeniu I wojny światowej wielu ludzi emigrowało z Kresów Wschodnich do Stanów Zjednoczonych. Nie tylko Żydzi skorzystali wówczas z możliwości wyjazdu.

Ojciec wrócił z I wojny światowej z medalem za męstwo. Walczył na terenach rosyjskich przeciwko Niemcom. W swoich poglądach politycznych ojciec początkowo był zwolennikiem tak zwanej żydowskiej partii terytorialistycznej, która częściowo przejęła ideologię Bundu. Uważali, że Żydzi

powinni mieć swoje terytorium, ale niekoniecznie w Palestynie. Potem, jak myślę, partia ta przestała istnieć i mój ojciec zaczął wspierać Bund. Moi rodzice prenumerowali „Folkszeitung” oraz „Moment”, ponieważ mama miała syjonistyczne poglądy. Moment zacząłem czytać, kiedy miałem siedem lat.

W naszej rodzinie było troje dzieci: Regina, Rywka oraz ja. Ja się urodziłem w 1913 roku. Regina była ode mnie o dwa lata starsza, a Rywka o dziesięć lat młodsza [Rywka urodziła się w 1923 roku a jej starsza siostra w roku 1911]. Rywka była niesamowicie uzdolnioną dziewczyną, łączyły mnie z nią dużo bliższe kontakty, aniżeli z moją starszą siostrą, z którą często się kłóciłem. Obie dziewczyny zginęły w sierpniu 1942 roku w getcie w Kowlu. Tak samo jak moja mama. Tata miał szczęście, bowiem zmarł kilka lat przed wojną.

## Moi dziadkowie

Nie wiem nic o moim dziadku, ojcu mojej mamy. Mam tylko jego fajkę, którą znalazłem w szufladzie. No i noszę jego imię: Mojsze Pinchos Bokser. Ale nazywam się Michał. W końcu nie mógłbym się nazywać Mojsze Pinchos w armii radzieckiej, prawda? Za to dobrze znam moją babcię, mamę mojej mamy. Chana Bokser, moja babcia, wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych w 1923 roku wraz Jidlem, bratem mojej mamy. Babcia także pochodziła z Kowla. Żyła długo i zmarła dopiero w podeszłym wieku. Byliśmy z nimi w kontakcie. Nawet kiedy po wojnie przeprowadziliśmy się do Warszawy, raz zadzwonili do nas ze Stanów Zjednoczonych. Ktoś chciał ze mną rozmawiać. Mieliśmy wówczas pokojówkę, która wiedziała, że utrzymywanie kontaktu z zagranicą nie jest dozwolone [w komunizmie wszelkie kontakty ze światem zachodnim były traktowane podejrzliwie i sprawdzane przez tajną policję], odpowiedziała więc, że tutaj nikt taki nie mieszka. I tak właśnie straciliśmy kontakt. „Jidl” pozostał bez swojego „fidl” [nawiązanie do filmu „Jidl mitn fidl” z 1936 roku] a później zamiast Bokser nazywał się Baxter.

Moja babcia Chana prowadziła tradycyjny dom. Przestrzegało się zasad koszerności i obchodziło wszystkie święta. Chciałbym dodać coś, co właśnie sobie przypomniałem, a o czym nie myślałem od lat. Bardzo lubiłem mojego mełameda [nauczyciel w chederze], chociaż był z niego nudziarz. W piątkowe poranki zabierał nas do sztibla [mały dom modlitwy] jakichś rzemieślników. Żydzi siedzieli tak i studiowali Torę oraz midrasze. Na początku tylko siedziałem i się przysłuchiwałem, potem sam zacząłem tłumaczyć zebranych święte teksty. Pamiętam, że jeden z nich nazywał się Szpak. Miał pozwolenie na przewóz różnych ładunków koleją. Obecni tam Żydzi mówili „Co za kłamczuch z tego chłopaka!”. Szpak wtedy odpowiadał „Skąd to zdziwienie? W końcu cadyk z Czernobyli tańczył na weselu swojej babci Chany”. Po midraszach mełamed zabierał nas nad rzekę, gdzie uczyliśmy się pływać, ponieważ [zgodnie z tradycją] rodzice mieli obowiązek kształcić swoje dzieci i nauczyć je pływać.

Mój dziadek ze strony ojca pochodził z Brześcia. Nie miałem żadnego kontaktu z rodziną z Brześcia. Moja babcia ze strony ojca już nie żyła. Nie pamiętam nawet jej imienia. Miałem kuzyna, który wyjechał do Palestyny przed wojną. W Kowlu wspierał ruch betarowy a później odegrał ważną rolę w walkach przeciwko Brytyjczykom [w latach 20. XX wieku był on członkiem rewizjonistycznego podziemia w Palestynie]. Należał do ugrupowań Begina oraz Szterna, jakiś czas spędził w więzieniu. To był krewny ze strony ojca. Miał nietypowe nazwisko – Jundow. Janusz oraz jego brat Matys byli synami siostry mojego ojca, której imienia nie pamiętam.

Miałem jeszcze jedną kuzynkę, córkę siostry mojego ojca, Ireny Rajnberg z domu Friedman. Wyszła za mąż za prawnika, bardzo dobrze znanego przed wojną. Nazywał się Rajnberg. Kilkakrotnie był atakowany przez członków ONR-u. Irena przeżyła udając „aryjkę”. Została schwytana podczas jednej z łapanek, wtrącona do więzienia, ktoś ją zadenuncjował, że jest Żydówką. Była nawet badana przez antropologów czy spełnia wszystkie „standardy” i podczas badań okazało się, że jest w 100% „aryjką”. Po wojnie Irena wyjechała do Izraela, gdzie zmarła.

## Dzieciństwo

Mieszkaliśmy w centrum Kowla w wynajętym trzypokojowym mieszkaniu na ulicy Warszawskiej. Eppelbaum był właścicielem kilku kamienic i od niego wynajmowaliśmy mieszkanie z trzema sypialniami w drewnianym, jednopiętrowym domu. W tym domu mieszkała jeszcze jedna rodzina i przez jakiś czas znajdowała się tu także miejska biblioteka.

Mieliśmy osobne wejście do naszego mieszkania na pierwszym piętrze. Była tam oszklona weranda, gdzie latem jedliśmy posiłki i przyjmowaliśmy gości. W jednym z pokoi moja mama miała swój warsztat. W każdym pokoju były łóżka. Sypialnia była urządzona w tradycyjnym stylu: podwójne łóżko, szafa, przeszklony kredens i półka na moją ciągle powiększającą się kolekcję książek. Wszyscy bardzo dużo czytaliśmy, łącznie z moimi siostrami. Moje czytanie często uniemożliwiało pozostałym pójście spać, więc mama często kazała mi już kończyć, ponieważ była bardzo zmęczona.

W domu był taki duży korytarz, gdzie przechowywana była beczka z wodą, ponieważ w tamtym czasie tylko nieliczne domy miały dostęp do bieżącej wody. Toalety były na dziedzińcu. Jak na ówczesne warunki nie byliśmy wcale tacy biedni. Moja mam dobrze zarabiała i zawsze mieliśmy pokojówkę, nawet kiedy ojciec nie pracował.

W kuchni znajdowała się piec z piekarnikiem. W czwartki wypiekało się w nim chleb na sobotę, chałkę i naleśniki z mąki pszennej, posypane makiem i kawałkami cebuli, tak zwane „cebulaki”. Czasami na święta przyrządzany był kuchen, taki placek drożdżowy z rodzynkami. W soboty jedliśmy cymes z marchewki, gotowany w dużym rondlu. Bardzo często jedliśmy też czulent. Zanosiliśmy garnek z potrawą do piekarni w piątek i odbieraliśmy go w sobotę, bo w piątek nikt nie gotował. Co prawda piekarnia była wówczas zamknięta, ale piec utrzymywał ciepło potrawy. W czulencie była wołowina, ziemniaki upieczone na brązowy kolor, często także duże kawałki masła. Pamiętam taki dowcip: „Co to jest czulent? Wkładasz to w piątek i wyjmujesz w sobotę.”

Później, gdzieś w latach 30. XX wieku, przenieśliśmy się do innego mieszkania, którego właścicielem był kolejny bogaty człowiek, z rodziny Bokserów. To byli nasi dalecy krewni. Wynajmowaliśmy trzy pokoje, również w centrum, na ulicy Piłsudskiego, która była przedłużeniem ulicy Warszawskiej. Był to rodzaj promenady z ławkami. Rodzina Bokserów prowadziła firmę z materiałami budowlanymi. Jeden z synów Boksera był moim znajomym, razem wyjechalśmy na studia do Francji w 1930 roku. Ukończył studia o profilu handlowym, ale nie wrócił do Kowla, tylko wyjechał do Palestyny.

## Życie religijne w Kowlu

W naszym małym miasteczku święta były bardzo ważne. Wszyscy je obchodzili. Na Pesach dom był dokładnie sprzątny, każdy jego zakamarek, a wszystkie naczynia były koszerowane w gorącej wodzie na podwórzu. Ludzie dostarczali mąkę do piekarni, w której wyrabiano macę. Wówczas to były małe okrągłe bochenki, a nie tak jak dzisiaj prostokątne placki. Gmina żydowska rozdawała mąkę oraz macę ubogim rodzinom. Działały różne instytucje charytatywne, które rozdawały macę, zbierały pieniądze na posag dla dziewcząt, które go nie miały, aby nie zostały same aż ich warkocze posiwieją, jak mówi powiedzenie w jidysz. Na święta robiono wino z rodzynek. Dla nas to wino było cudowne.

Stół nakrywało się białym obrusem. Na stole pod serwetką leżały trzy mace. Z jednej odłamywało się kawałek i gdzieś chowało, aby dzieci mogły go szukać. Nazywa się afikoman. Podczas czytania Hagady trzeba było podnieść cztery puchary. Dodatkowo jeden, specjalny rzeźbiony kielich dla proroka Eliasza. W określonym momencie otwierało się drzwi, aby prorok Eliaasz mógł wejść. Kiedy byłem małym dzieckiem oczywiście wierzyłem, że Eliaasz naprawdę przychodzi. Obchodzimy Pesach, aby pamiętać, że kiedyś byliśmy niewolnikami w obcym kraju. Dlatego otwieramy drzwi, aby pozwolić wejść Eliaaszowi lub komukolwiek, kto jest głodny i spragniony. Najmłodsze dzieci zadają cztery pytania. Kiedyś mówiono o głupcu: on jest filozofem czterech pytań.

Święto Pesach obchodzone było bardzo uroczyście; było to związane z początkiem wiosny. Rodzice mieli obowiązek dać swoim dzieciom nowe ubrania lub cokolwiek innego, co było nowe. Kiedy chłopcy i dziewczęta spotykali się na podwórzu, wszyscy wydawali się tacy nowi. Ci, którzy mieli nowe ubrania witając się mówili "titchadesz", co oznacza: „obyś się odnowił”. Jednym z tradycyjnych zwyczajów była gra, przypominająca nieco klipę, tyle że przy użyciu orzechów włoskich. Część orzechów kładło się na ziemi i następnie trzeba było trafić je innym orzechem. Komu udało się zbić największą ilość orzechów, zabierał je wszystkie. Podczas Chanuki gra się w drejdl, taki bączek.

Później, po śmierci ojca, święta nie miały już tego samego uroku. Przyjeżdżałem do domu na kilka dni, miałem grono przyjaciół, chodziliśmy na spacer lub spotykaliśmy się w klubie, do którego zazwyczaj uczęszczała żydowska inteligencja. Mieliśmy tam różne sekcje: sekcję muzyczną dla mandolinistów, sportową, szachową; był też stół do ping-ponga. Danziger, właściciel młyna, finansował klub. Rozmawialiśmy głównie w języku jidysz, a język polski w dużej mierze zastąpił język rosyjski.

Pamiętam, że na Sukkot szafasy były robione ze złamanych drzwi czy drewnianych balustrad; obok każdego domu stał szałas. Szawuot było bardzo kolorowym świętem. Niedaleko naszego miasteczka było jezioro porośnięte tatarakiem. Ścieżka wiodąca do domu wysypywana była białym piaskiem, a cały dom dekorowany liśćmi tataraku. Większość domów wyglądała, jakby stały w środku dżungli. Ten zwyczaj zaczął jednak zamierać w latach 30. XX wieku. Młodzież, coraz bardziej świecka, zaczęła odchodzić od tradycji. W naszym miasteczku było wielu uczniów. W dwóch gimnazjach [szkołach średnich] co roku naukę kończyło 45 absolwentów.

Chanuka była świętem towarzyskim. Moje znajome i znajomi – czasem dwadzieścia, trzydzieści osób – przychodzili do naszego domu. Mama i siostry robiły placki ziemniaczane. I oczywiście zapalaliśmy świece, które stały na parapecie.

Pamiętam, że kiedy byłem w pierwszej klasie gimnazjum Tarbut, podczas Purim zbieraliśmy pieniądze na Keren Kayemet Leisrael. Przebieraliśmy się np. za Ester lub Ahaswerusa. W pięcioosobowych grupach chodziliśmy od domu do domu. To mogło być w 1925 roku. Odgrywaliśmy całą historię. Był Ahaswer, Haman, który oskarża Żydów i Mordechaj, który idzie do króla i wyjaśnia całą sytuację. Pieniądze zbieraliśmy do puszek na datki i oddawaliśmy je „dla Palestyny”.

W naszym mieście nawet ci nieliczni, zasymilowani Żydzi przestrzegali tradycji. Na Jom Kipur nie było nikogo, kto nie przyszedłby do synagogi. Z drugiej strony we wszystkich domach, które znałem, to głównie kobiety przestrzegały zasad koszerności. Bo komuniści na przykład obnosili się z tym, że nie przestrzegali tradycji. Kowel był żydowskim miastem, którego obrzeża – zamieszkane przez ludność ukraińską oraz polską – tworzyły jakby odrębne miasto. Kowel był podzielony na trzy dzielnice. Po jednej stronie rzeki znajdowało się Stare Miasto, zwane Zand [w jidysz], lub Piasek, jako że było zbudowane na piaszczystym podłożu. W nowej części miasta, na drugim brzegu Turii, mieszkali Polacy, z których większość była pracownikami spółki kolejowej Depo: naprawiali wagony kolejowe oraz silniki. To było oddzielne miasto. Było tam mniej Ukraińców niż Polaków. Ich domostwa zaczynały się tuż za główną ulicą. Te trzy różne światy żyły obok siebie.

Kowel był największym węzłem kolejowym na wschodzie, a bezpośrednia podróż na trasie Warszawa-Kowel była szybsza niż dzisiaj. Podróż trwała mniej niż pięć godzin, a pociągi kursowały tak punktualnie, że mogłeś nastawiać według nich zegarek. Wagony były czyste. Były trzy klasy, pierwsza oczywiście najdroższa. Mówiono wtedy „dlaczego Żydzi podróżują trzecią klasą? Ponieważ nie ma czwartej”. Bilety nie były takie drogie. Trzecia klasa miała drewniane ławki, podczas gdy w pierwszej i drugiej ławki były tapicerowane. W wagonach były przedziały, a w pociągach pośpiesznych jeszcze wagon restauracyjny. Kiedy mieszkałem w Warszawie podróżowałem zwykłymi pociągami. Zawsze wracałem z Warszawy z domu na święta Pesach, Rosz Haszana albo Jom Kipur.

## Historia Żydów w Kowlu

To małe miasto było czym więcej, niż zwykłym sztetlem. Stanowiło bastion żydowskiej, hebrajskojęzycznej inteligencji. Starsi ludzie mówili jeszcze po rosyjsku, ale młodsze pokolenie wybierało już język polski. Mieszkańcy mojego miasta nie byli bogaci. Tylko kilka osób było zamożnych. Jednym z nich był Armarnik, właściciel młyna na zboże. Oprócz niego Danziger oraz Cuperfein, który miał olejarnię. Sztern był niezwykle skąpym człowiekiem. Kiedy przedstawiciele gminy przyszli do niego z prośbą o wsparcie finansowe na posag dla utalentowanej, lecz biednej dziewczyny, Sztern odpowiedział „Podoba mi się ten pomysł, dziewczynie należy pomóc”. Potem zwrócił się do swojej żony: „Genia, daj mi płaszcz, idę z nimi zbierać datki”.

W naszym mieście znajdowały się dwie duże synagogi. Dodatkowo były jeszcze tak zwane sztible, domy modlitwy należące do poszczególnych cechów. Tragarze, malarze i szewcy – wszyscy oni mieli swoje domy modlitwy na ulicach, gdzie mieszkali. W Zand znajdowała się duża, piękna synagoga, wybudowana w stylu warownym. W święta występowali tutaj najlepsi żydowscy kantorzy, jak np. Kusowicki czy Rozenblatt. Był tam również chór, do którego należało kilkoro moich kolegów z klasy. W mieście znajdowała się jeszcze jedna – prywatna – synagoga, założona przez lokalnego bogacza, Eppelbauma. On był w tzw. nieformalnym związku z kobietą z Ukrainy.

Pamiętam, że całe miasto się temu sprzeciwiało. Mówiono, że wybudował synagogę, aby odpokutować ten grzech w swoim przyszłym życiu. Chodziliśmy się modlić do jego synagogi w najważniejsze święta: Rosz Haszana, Jom Kipur, Pesach, Szawuot i Sukot, podczas trzech świąt pielgrzymkowych oraz w Groźne Dni [Jamim Noraim]. Ta synagoga pozostała w mojej pamięci jako miejsce tragedii, ale o tym opowiem później.

Jedna rodzina z Kowla to byli potomkowie Magida z Turzyska i turzyskich chasydów. Turzysk leży nad rzeką Turią, pięć kilometrów od Kowla. Dlatego też potomkowie tej rodziny mieli w Kowlu dwór chasydzki na niewielkiej wyspie na Turii. Chasydzi przychodzili odwiedzać cadyka w ważne święta. Pamiętam, że wraz z chłopakami, którzy – jak się mówiło – oddalili się od religii, pływaliśmy kajakami w tamtą stronę i żartowaliśmy z chasydów świętujących przy stołach. Na przykład puszczaliśmy w ich stronę kota albo psa, a oni strasznie krzyczeli, ponieważ bali się nieczystych zwierząt. Pamiętam takie głupie żarty.

W Kowlu działał szpital żydowski, wspierany przez gminę żydowską. Dyrektorem tego szpitala był Ukrainiec, który znał jidysz i nawet czytał czasopismo Der Moment. W czasie okupacji okazał się nacionalistą i współpracował z Niemcami.

W miejscowości, gdzie mieszkało dwadzieścia parę tysięcy mieszkańców, były dwa koedukacyjne gimnazja, lokalna gazeta Kovler Sztymmer i dwa kluby żydowskie: klub Szolema Alejchema i klub Pereca. Organizacje syjonistyczne też miały własne kluby i biblioteki. Na ulicach szalała walka pomiędzy zwolennikami jidysz a języka hebrajskiego. Miasto było względnie świeckie. Do ważnych instytucji należało gimnazjum hebrajskie Tarbut oraz lokalna organizacja Poalej Syjon, która, podobnie jak Bund, postulowała autonomię kulturalną dla Żydów.

Zarówno Bund, jak i Poalej Syjon prowadziły dobrze zorganizowaną działalność kulturalną w swoich klubach. Na przykład, przeprowadzały „procesy” książek. Na czym one polegały? Na początku publiczność zgromadzona w sali słuchała krótkiego opowiadania lub noweli. Następnie wybierano zespół sędziów, a „prokurator” przygotowywał mowę. Był też „obrońca”. Bardzo często debata między młodymi ludźmi przeciągała się do białego rana. Uczestniczyłem w takich spotkaniach, np. w procesie Boncze Sz wajga [główna postać oraz tytuł powieści Icchoka Lejba Pereca]. Czy postępował on słusznie? Czy powinien zostać nagrodzony? Bardzo wiele takich debat miało miejsce, wszyscy dorastaliśmy na nich. Oba kluby prowadziły swoje biblioteki. Ich zbiory nie były szczególnie duże, ale moglibyśmy znaleźć praktycznie wszystkie tytuły publikowane w jidysz, nie tylko te napisane przez żydowskich autorów, ale także te przetłumaczone na jidysz. Książki w języku hebrajskim były dostępne w bibliotekach organizacji syjonistycznych.

Niedaleko naszego domu przy ulicy Warszawskiej znajdował się Dom Związku Ziemiaków, do którego uczęszczali właściciele ziemscy z całego Wołynia. A my, Polacy tak jak i Żydzi, chodziliśmy tam na wieczorki taneczne. Każdy zamawiał po połowie kotleta, niekoszernego, choć zrobionego z cielęciny a nie wieprzowiny, oraz tańczyliśmy na przykład tango argentyńskie.

Po 1918 roku działał w naszym mieście teatr żydowski, co nie byłoby możliwe pod panowaniem carów. To był teatr amatorski. Jego aktorami byli zwykli robotnicy, nauczyciele oraz studenci. Cały repertuar klasyków żydowskich został wystawiony w tym teatrze. Istniał on do 1 września 1939 roku. Odwiedzały nas też często grupy aktorów ze stolicy. Nawet wielki aktor, [Aleksander] Granach przyjechał kiedyś do Kowla. No i oczywiście teatr Józefa Kamińskiego również. Co prawda nie

widziałem „Dybuka”, ale za to widziałem „Wielką nagrodę” oraz „Dwa tysiące srebrnych monet” Szolema Alejchema. To była ta sama sztuka, ale wystawiona pod różnymi tytułami. Widziałem również „Boga zemsty”, sztukę autorstwa Szolema Asza.

Do Kowla przyjeżdżali nie tylko wybitni aktorzy, ale także zapaleni reporterzy, którzy dość często opisywali świat, którego sami nie widzieli. Mój ojciec zawsze zabierał mnie na takie spotkania. Pamiętam, jaki byłem oczarowany tymi zmyślonymi opowieściami. Wtedy też zacząłem wypożyczać książki w bibliotece.

Dwóch wybitnych poetów pochodziło z Kowla. Jeden z nich wszedł do panteonu literatury żydowskiej jeszcze przed wybuchem wojny: Kalman Lis. Lis pojawił się we wszystkich podręcznikach szkolnych CiSzO [Centralna Żydowska Organizacja Szkolna]. No i Eliasza Rajzman, który mieszkał w Szczecinie po wojnie, został przetłumaczony przez jakąś polską poetkę. Rajzman zmarł ponad dekadę temu [zm. 1975]. Był wybitnym poetą. Obaj byli także aktorami w naszym teatrze żydowskim. Rajzmana poznałem dzięki jego artykułom w Folksztyme. Pewnego dnia, gdzieś w połowie lat 60. XX wieku, zauważyłem, że na łamach jednej gazety publikowana była powieść w odcinkach o Kowlu, pod tytułem „Na drogach mojego wczorajszego dnia” albo „Oyf di vegn fun mayn nechtn”. I wtedy przypomniałem sobie o Rajzmanie, którego kiedyś obrzuciliśmy zgnitymi pomidorami, ponieważ jego gra aktorska była taka słaba. Był jednak znakomitym poetą. Przed wojną Kalman Lis był opiekunem w Żydowskim Domu Dziecka w Otwocku. A potem zginął - tak po prostu - został zabity przez Niemców. Byli też trzej bracia, poeci z Turzyska: Lejb, Mates i trzeci, którego imienia nie pamiętam [miał na imię Baruch]. Po wojnie Lejb został w Polsce, wyjechał dopiero w 1957 roku. Dokonał wspaniałych tłumaczeń Puszkina i Tuwima. Kiedyś podarował mi książkę, w której znalazłem dedykację dla mojej młodszej siostry, Rywki, w której był bardzo zakochany. Mates Olicki mieszka obecnie w Stanach Zjednoczonych i publikuje w „Forverts”.

Kovler Sztyme była ogólną, żydowską gazetą dla wszystkich. Miała jednego redaktora, jednego właściciela i jednego edytora - i był nim ten sam człowiek. Nazywał się Jakub Burak. Spotkałem jego brata w Holonie, wiele lat po wojnie. Jakub Burak został zabity. Od czasu do czasu redagowałem w Kovler Sztyme kolumnę sportową, oczywiście w języku jidysz, a także publikowałem czasami recenzje spektakli teatralnych.

Kiedy w 1918 roku znaleźliśmy się w granicach Polski, język polski był w zasadzie obcy dla całej żydowskiej inteligencji. Rok 1918 był pełen wydarzeń [patrz: wojna domowa]. Brygada, albo oddział Białej Armii Bułaka-Bałachowicza stacjonował na północnym Wołyniu. W tym czasie wraz z polską armią działali przeciwko bolszewikom, ale po drodze mordowali okolicznych mieszkańców, tak dla wprawy. Pamiętam, że brat mojej matki należał do tak zwanej Milicji Obywatelskiej, która to miała nas chronić w razie napaści Bułaka-Bałachowicza. Większość członków tej milicji była Żydami, ale było też tam kilku Ukraińców oraz Polaków. Brat mojej matki dostał nawet strzelbę od tymczasowych władz miejskich. Mieli karabiny z częściowo odcięłą lufą, często używane przez kłusowników. Ponieważ wojna miała taki zmienny charakter - raz jedne siły były w mieście, raz inne - broni było bez liku; żołnierze często porzucali swoją broń i uciekali.

Na początku nasze nastawienie do Polski było przepięknie przede wszystkim wielką nadzieją, ponieważ carat nie zapisał się szczególnie dobrze w historii Żydów, zwłaszcza na tych terenach. Wiem, że wielkie zasługi przypisywano Piłsudskiemu, który i tak już był legendą. Jego blask nieco przygasł, kiedy połączył siły z Petlurą, którego ludzie zaczęli organizować pogromy, także na

Wołyniu.

W Kowlu nie było pogromów. Chociaż w 1918 roku, kiedy oddziały Hallera wkroczyły do miasta i wyparły bolszewików, publicznie obcinano Żydom brody za pomocą szabli; ale to były spontaniczne działania. Pamiętam jedno wydarzenie, które później powracało w moich snach przez wiele lat. Był rok 1920, miałem siedem lat. Mieszkaliśmy w pobliżu dworca kolejowego i pewnej nocy żołnierze zaczęli dobijać się do naszych drzwi. Ojciec wziął siekiere. Drzwi były zaryglowane prętem; stałem obok i trzymałem za nogi ojca, który był gotów bronić nas do końca. Wtedy jeden z żołnierzy coś krzyknął i wszyscy odeszli - w bocznej uliczce znajdowały się burdele - i wszystko znów ucichło.

W latach 20. XX wieku Żydzi i Polacy żyli w zgodzie. W Kowlu był jeden prałat Feliks Sznarbachowski, który zbudował piękny kościół. Był przyjacielem Żydów i piętnował złe postawy z wysokości swojej ambony. Kiedy prałat zmarł, prawie wszyscy Żydzi towarzyszyli mu w jego ostatniej drodze na cmentarz. Ja też brałem udział w tym pogrzebie. Bratanek prałata [Włodzimierz] był przed wojną zagorzałym członkiem bojówek; po wojnie pracował dla Radia Wolna Europa i żałował swoich antysemitycznych działań. Kiedy Hitler doszedł do władzy, wśród studentów w Polsce zaczęli pojawiać się zwolennicy ONR, którzy głosili nienawiść. Hasło „Nie kupuj u Żyda” słyszało się często.

Na początku lat 30. XX wieku w jednym z kin w Kowlu odbył się wiec, podczas którego przemawiał Włodzimierz Żabotyński. Było to albo kino Odeon albo Ekspres, ponieważ wówczas w mieście były tylko dwa kina. Byłem tam. Żabotyński był znakomitym mówcą. Pamiętam, że był człowiekiem obdarzonym wielkim talentem oratorskim. Zazdrościłem mu tego i też bardzo chciałem zostać takim mówcą. Żabotyński zachęcał zebrane osoby do wyjazdu do Palestyny; najprawdopodobniej wiec odbył się po dojściu Hitlera do władzy w 1933 roku, bo Żabotyński mówił o zagrożeniu dla Żydów, jakie to ze sobą niesie. Rząd polski bardzo przychylnie odnosił się do Żabotyńskiego i jego zwolenników - co nie miało miejsca w stosunku do ruchu chalurowego - pozwolił im nawet na przeszkolenie paramilitarne swoich ludzi. Ta prawicowa organizacja została po wojnie zapomniana, ponieważ niesłusznie utożsamiano ją z ruchem faszystowskim. Przed 1918 roku w Kowlu było rosyjskie gimnazjum, do którego chodziło kilkoro Żydów. W 1918 roku, po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, w miejscu tej szkoły otwarto polskie gimnazjum publiczne im. Słowackiego, do którego Żydzi nie byli przyjmowani. Jeżeli pamięć mnie nie myli, siedem osób pochodzenia żydowskiego uczęszczało do tej szkoły. W Kowlu były trzy gimnazja oraz jedna szkoła handlowa. Wszystkie gimnazja były koedukacyjne. Utworzono także prywatne gimnazjum polsko-żydowskie, prowadzone przez Klarę Erlich, z językiem polskim jako wykładowym. Klara Erlich była absolwentką Uniwersytetu Kijowskiego i bardzo dobrą matematyczką. Po wojnie rozmawiałem z nią telefonicznie, kiedy przyjechałem do Moskwy. Obydwa gimnazja zostały upoważnione do wydawania dyplomów ukończenia szkoły średniej

## Lata szkolne

Było też trzecie gimnazjum, żydowskie z hebrajskim jako językiem nauczania; było to gimnazjum Tarbut, które nie przyznało polskiego dyplomu ukończenia szkoły średniej. Założycielem tego gimnazjum był Asher Frankfurt. W ogóle nie mówiono tam w jidysz, a cała nauka odbywała się po hebrajsku. Szkoła miała dwie wstępne klasy: pierwszą i drugą, zastępujące zajęcia w szkole podstawowej. Tak było na początku, kiedy ja uczęszczałem do szkoły. Później dzieci musiały

chodzić do szkoły podstawowej.

Na początku chodziłem do chederu. To znaczy uczyłem się w chederze od 4 do 7 roku życia. Tam nauczyłem się Biblii prawie na pamięć. Oczywiście tłumaczyłem też Biblię na język polski. W chederze byłem krótko, to znaczy nie cały rok, bo potem mełamed przychodził do nas do domu. Uznał bowiem, że przewyższam innymi wiedzą; ale zapewne chodziło mu o większy zarobek.

Przygotowywałem się do pójścia do gimnazjum w domu, ponieważ to, co mogłam nauczyć się od mełameda nie było wystarczające. Zdałem egzamin do wstępnej drugiej klasy i zacząłem uczyć się wszystkich przedmiotów w języku hebrajskim. Początkowo łacina była tłumaczona na język polski, ale później przetłumaczyliśmy tę martwą już łacinę na hebrajski. To była bardzo duża szkoła; później było osiem klas, średnio po 40 uczniów w każdej z nich. Po 1918 roku dyrektor próbował w pewnym sensie polonizować nasze hebrajskie gimnazjum.

Było kilku znakomitych nauczycieli. Przez pewien czas dr Feldszu, pisarz po hebrajsku, uczył łaciny. Nie był szczególnie miłą osobą. Feldszu był członkiem Betaru i chciał stworzyć oddział Betar w naszej szkole. Pamiętam, że byłem członkiem Betaru przez około tydzień, a następnie przyłączyłem się do organizacji Hashomer Hacair, która to wyodrębniła się z organizacji harcerskiej. Pamiętam, że nosili takie czapki jak Baden Powell i takie kije. Bardzo chciałam do nich dołączyć. Miałem wtedy pięć lub sześć lat. Byli to żydowscy skauci, Cofim. Członkiem Haszomer Hacair byłem krótko, ponieważ wtedy miałem inne zupełnie przyziemne zainteresowania – zostałem piłkarzem w klubie Makabi.

Kiedy ja uczęszczałem do hebrajskiego gimnazjum moja siostra Regina poszła do gimnazjum żydowsko-polskiego, gdzie nauczyła się płynnie mówić po rosyjsku. Otrzymała dyplom ukończenie szkoły średniej, ale nie poszła na uniwersytet, ponieważ w tamtym czasie nie było nas stać na pokrycie wszystkich kosztów, które się z tym wiązały. Kiedy skończyła szkołę podstawową, tuż przed wojną, moja druga siostra Rywka zaczęła chodzić do żydowsko-polskiego gimnazjum.

Byłem naprawdę dobrym piłkarzem. Często moi koledzy z drużyny i fani znosili mnie z boiska na rękach. Grałem w Hasmonei. Ta drużyna początkowo nazywała się Maccabi, ale później została podzielona. To była najważniejsza żydowska drużyna sportowa. Była też „Gwiazda” oraz „Sztern”, drużyna związany z Bundem. Było kilka polskich drużyn: Sokół, który później został przekształcony w PKS Policyjny Klub Sportowy oraz WKS Wojskowy Klub Sportowy. W mojej drużynie piłkarskiej, Hasmonei bramkarzem był Polak, Kola Chmielarski, który mówił w jidysz tak samo jak ja czy reszta z nas.

Raz poznałem polską dziewczynę, gojkę, i jak to się mówi chodziliśmy razem przez jakiś czas. Nie za długo, ale nie bezgrzesznie. Ona mieszkała na w innej części Kowla, trzeba było przejść przez tunel. Jednego dnia, była już późna pora, odprowadzałem ją do domu i kiedy dochodziliśmy do tego tunelu, to zobaczyliśmy tam jakieś światełka, ktoś palił papierosy. I ona do mnie mówi, żebyśmy tam nie szli, bo mnie pobiją. Pamiętam, że nie mogłem pokazać jej, że się boję, taki głupi byłem, no i mówię jej, że odprowadzę ją do samego domu. Więc idziemy śmiałym krokiem i od razu do mnie doskakują. Po chwili ktoś mówi „To ty jesteś ten piłkarzy!”. Zaczęli mnie poklepywać po plecach, pogadaliśmy trochę. Poczęstowali mnie papierosem; wziąłem, chociaż nie paliłem.

W Kowlu istniał półświatek żydowski. Na czele tej grupy stał absolwent jesziwy, Zajdel się nazywał. Miał naturę romantyka i duże powodzenie u kobiet. Zapamiętałem go, jako bardzo mądrego i wykształconego człowieka. Jak była jakaś wielka kradzież, to się zwracali nie do policji tylko do niego i za okazałą prowizją, oczywiście zguba się znajdowała. Musiał mieć 40 lat, kiedy wybuchła wojna. Oczywiście został zamordowany. Był jeszcze jeden przestępca, Sieroszewski się nazywał. Przez jakiś czas byłem bohaterem wśród tych drobnych przestępców. To było wtedy, gdy graliśmy w lokalnej lidze piłkarskiej i ciągle wygrywaliśmy z polskimi drużynami, takimi jak WKS Wojskowy Klub Sportowy albo Sokół. Kiedyś było tak, że znienawidzonemu Wojskowemu Klubowi Sportowemu Halerczyk strzeliłem trzy bramki w ciągu jednego meczu; to się nazywa hat trick w żargonie piłkarskim. Ci z tego półświatka zawsze bywali na meczach. Kiedy strzeliłem te trzy gole od razu do mnie przyszli, oczywiście przynieśli piwo, zaczęli mną podrzucać i krzyczeć „Molodiec! Zuch chłopak! Brawo!”.

Turzysk, małe miasteczko położone 25 kilometrów od Kowla, było "festungiem" - bastionem - języka jidysz. Wiele osób wyjeżdżało do Wilna do gimnazjum, gdzie nauka odbywała się w języku jidysz. W domu, w rodzinie w zasadzie rozmawialiśmy w jidysz. Pamiętam, że znajomi Reginy spotkali się w naszym mieszkaniu i mówili po rosyjsku. Znałem brzmienie tego języka, ale nie umiałem mówić. Później Regina utrzymywała kontakty z Polakami, więc bardzo szybko nauczyliśmy się polskiego. Byłem chyba jednym z pierwszych, który wyparł język rosyjski zupełnie i wchłonął w siebie język polski. Czym? Były wówczas wydawane na gazetowym papierze takie broszury, powieści sensacyjne. Kosztowały niewiele, parę groszy. Pamiętam całe serie: Henryk Lerman „Detektyw niepokonany”, „Sitingbul” o czerwonoskórych. Czytałem je całymi dniami.

Byłem zagorzałym czytelnikiem i moja znajomość języka polskiego osiągnęła wówczas bardzo wysoki poziom. Tłumaczyłem te broszury dla moich znajomych. Jeżeli jidysz był moim pierwszym językiem, to na drugim miejscu był hebrajski, który zawsze jednak konkurował z językiem polskim.

Hebrajski był codziennym językiem dla mnie i dla moich przyjaciół. Po hebrajsku potrafiłem pisać całkiem dobrze, w pięknym literackim stylu. To głównie znajome upierały się, żeby rozmawiać po hebrajsku. Kiedy w pewnym wieku zaczęliśmy się do nich zalecać, ustaliły jedną zasadę - że będziemy rozmawiać tylko po hebrajsku. Pamiętam taką jedną, piękną dziewczynę. Nazywała się Szewa Werba. Musiałem ją podrywać po hebrajsku. No ale w końcu mamy najpiękniejszy wiersz miłosny na świecie - „Pieśń nad pieśniami”. Znałem całą jego treść praktycznie na pamięć.

Mój nauczyciel hebrajskiego, którego do dnia dzisiejszego podziwiam, bardzo często robił trudne klasówki. Nazywał się Rotman. Jakub Nataneli Rotman. W związku z tym, że podręczników jeszcze nie mieliśmy, tylko takie ad hoc sklecone podręczniki, Rotman posługiwał się specjalnym powielaczem, który smarowało się tuszem i odbijało tekst. Szczególnie pamiętam odkrycie w Tel el Amarna. Wówczas to te źródłowe materiały odnoszące się do literatury hebrajskiej Rotman przedrukowywał, rozdał każdemu uczniowi a następnie omawialiśmy je na seminarium. Byłem kiepski z matematyki, ale bardzo dobry w naukach humanistycznych. Kiedy byłem w ósmej klasie gimnazjum wydaliśmy takie czasopismo, które miało strasznie głupi tytuł "Nasze kadry na zdobycie matury idące". Byłem redaktorem tego czasopisma. Co miesiąc za wydanie każdego numeru płaciliśmy z własnej kieszeni. Pamiętam, że drukarnię prowadził człowiek o nazwisku Brandys. W naszym gimnazjum Tarbut działał polski klub literacki. Kiedy jego pierwszy przewodniczący otrzymał dyplom ukończenia szkoły średniej, przejąłem jego stanowisko. Pamiętam mój pierwszy

artykuł "Byron i bajronizm w polskiej literaturze". Przetłumaczyłem też kilka sonetów Saula Czernichowskiego, który był autorem sonetów krymskich, podobnych do tych Mickiewicza. Czernichowski wyemigrował później do Izraela, podobnie jak Bialik. Kiedy byłem w ósmej klasie do naszej szkoły przyjechała znakomita hebrajska poetka, Eliszewa. Była Rosjanką, nie urodziła się Żydówką, ale poślubiła Żyda i przeszła na judaizm.

Gimnazjum Tarbut koncentrowało się na przygotowywaniu młodych ludzi do wyjazdu do Palestyny. Pamiętam poruszającą scenę. Pewnego dnia dyrektor szkoły zebrał wszystkie klasy. Był rok 1925. Powiedział nam, że właśnie w tej chwili, gdy rozmawiamy, w Jerozolimie zostaje otwarty Uniwersytet Hebrajski. To było bardzo poruszające doświadczenie dla nas. "I z Syjonu wyjdzie Tora i Słowo Boże" - powiedział nam dyrektor. Wszyscy obecni zdecydowaliśmy, że po zdobyciu zawodu udamy się do Palestyny. Niektórzy poszli na uniwersytet we Francji i kiedy wybuchła wojna, udali się do Palestyny. Jako nauczyciele języka hebrajskiego byli na wagę złota. Niestety, ja z wyjazdem zwlekałem zbyt długo. Nie mogę powiedzieć, że tego żałuję. Ale czasami nawiedza mnie dręcząca myśl, że wówczas sprawy mogły potoczyć się zupełnie inaczej.

Ukończyłem gimnazjum w wieku 17 lat; było to w 1930 roku. Pamiętam temat mojej pracy magisterskiej: "Bo chłop ma i coś z Piasta, chłop potęgą jest i basta!". Potem zostałem prywatnym nauczycielem w Kowlu. Uczyłem języka polskiego, historii oraz hebrajskiego. W tamtym czasie na znajomości tego języka można było zarobić fortunę; aby dostać się do Palestyny, należało zapłacić pewną sumę pieniędzy przewidzianą przez Anglików oraz potencjalny emigrant musiał udowodnić, że posługuje się językiem hebrajskim. Egzaminy ze znajomości języka odbyły się w Brześciu, gdzie przybywali studenci z całej Polski. Miałem jednego przyjaciela, Josel Szpak się nazywał. Wspominałem już o jego ojcu. No więc Szpak nie znał hebrajskiego. Pojechałem do Brześcia udając Szpaka i oczywiście napisałem tam wypracowanie, na podstawie którego Szpak dostał swój certyfikat - dokument wyjazdowy. W latach 80. XX wieku zadzwoniłem do niego w Izraelu. Zastanawiałem się czy wciąż jeszcze żyje? Szpak był wtedy właścicielem piekarni. Jadłem obiad w jego domu. Przedstawiając mnie swojej żonie powiedział: "To jest człowiek, który uratował mi życie".

Każdego roku dwa gimnazja żydowskie kończyło kilkudziesięciu absolwentów, którzy nie mogli się dostać na upragnione wydziały. W Kowlu była tylko miernicza i drogowa szkoła, która kształciła geodetów oraz mierniczych. Wielu Żydów nie mogło iść na studia; dostanie się na uczelnię medyczną lub techniczną było najtrudniejsze, ponieważ w Polsce istniało wówczas numerus clausus [ustawodawstwo antyżydowskie w Polsce]. Jeśli się chciało studiować medycynę trzeba było wyjechać do Lwowa, Warszawy, Pragi albo Wilna. Dziesiątki takich absolwentów medycyny wracało do Kowla i nie mogli nostryfikować dyplomu. Wówczas trzeba było go nostryfikować, ale izby lekarskie były tak nastawione, zwłaszcza jeśli chodziło o Żydów, że przebrnąć przez tę nostryfikację było niemożliwe. Więc cóż miała robić żydowska inteligencja?

## Uniwersytet

Moi rodzice zastanawiali się, jaki kierunek studiów powinienem wybrać. Ja chciałem studiować literaturę francuską, ale mój ojciec powiedział: "To nie jest handel, nie wyżyjesz z tego. Pójdiesz na uniwersytet techniczny!". Byłem bardzo słaby w matematyce, ale cóż, nie chciałem się przeciwstawiać mojemu ojcu. Myślałem, że pojedę później do Palestyny na Uniwersytet w

Jerozolimie. Przez trzy miesiące uczyłem się u takiej jednej pani Chodorow, której syn został później słynnym wilkiem morskim w Izraelu. Pojechałem do Grenoble, bo tam nie wymagano dyplomu ukończenia szkoły średniej. To było w listopadzie 1930 roku.

To było moje pierwsze zetknięcie się z Zachodem. Przyjechaliśmy na Dworzec Północny w Paryżu, a potem musiałem się udać na stację w Lyon i stamtąd do Grenoble. Podróżowała z nami przyjaciółka z Polski. W dokumentach miała zapisane, że nazywa się Chaja Leja Minc. Pamiętam, że kiedy wypełniliśmy kwestionariusz, by uzyskać nasze "cartes d'identite", funkcjonariusze nazwali ją "Hażha Leżha Menk". Przyjechaliśmy do Grenoble akurat w trakcie karnawału, takiego w brazylijskim stylu. Ja, chłopak z głębokiej prowincji, zostałem nagle otoczony przez grono tańczących niewiast, skąpo odzianych i to było duże przeżycie dla mnie, szok ... ale w końcu do tego przywykłem i nawet to polubiłem.

W Grenoble wynajmowałem pokój z jednym znajomym. Vis a vis naszych drzwi mieszkał Stefan Grinbaum, syn Icchaka Grünbauma, posła na Sejm Ustawodawczy, najprawdopodobniej w 1931 roku. Icchak Grünbaum przyjechał do Francji w związku z jakimś kongresem syjonistycznym i przy okazji odwiedził swojego syna. Z tej okazji cała społeczność akademicka Żydów pochodzących z Polski zebrała się w jednej z sal Uniwersytetu, żeby wysłuchać przemówienia Grünbauma. Był on świetnym mówcą. Pamiętam, że jego mowa była mową prawdziwego syjonisty, opowiadającego studentom o ich przyszłości w Palestynie; grupa obecnych tam komunistów przeszkadzała mu, robiła cwiszynrufen [słowo z języka jidysz oznaczające duży hałas, charmider]. Jednym z nich był syn Grünbauma. Grünbaum przekonywał, że nie powinniśmy czekać na przyjście Mesjasza, że Mesjaszem jest idea syjonistyczna, i że w końcu wrócimy do kraju, z którego wypędzono nas 2000 lat temu. Jego syn zabrał głos w imieniu proletariatu. Wówczas ojciec mu odpowiedział: „Najbardziej poszkodowanym i uciskanym proletariatem jest naród żydowski”. Wywołało to oczywiście burzę oklasków. Nawiasem mówiąc, podczas okupacji syn Grünbauma zachowywał się bardzo nieładnie; był w policji żydowskiej w getcie warszawskim i okazał się bardzo okrutny. Przeżył wojnę i wyjechał do Izraela, gdzie został zastrzelony przez bojówkę syjonistyczną.

Na okres wakacji wszyscy wracaliśmy do domu. Wydawaliśmy tam takie okolicznościowe pismo w język polskim; było dosyć grube, 40-sto stronicowe. Pamiętam, że jedną z redaktorek była Rusia Daszewska. Dlaczego zapamiętałem akurat ją? Dlatego, że jej ojciec brał udział w zamachu na życie Lenina i później został stracony. Niestety, nie zachował się żaden egzemplarz tego pisma. No może jakiś w Bibliotece Narodowej?

W Grenoble spędziłem rok. Ćwiczenia z chemii oraz z fizyki, ćwiczenia w laboratoriach. Przystąpiłem tylko do jednego egzaminu. To wszystko było nie tyle ponad moje siły, co ponad moje chęci. Żeby mieć pieniądze na podróż powrotną do domu, przez jakiś czas pracowałem w fabryce przy pakowaniu czekolady, przy budowie szosy. Do Kowla wróciłem w 1931 roku.

W Kowlu zarabiałem na życie, znowu jako prywatny nauczyciel. Uczyłem głównie polskiej literatury oraz języka łańckiego, czasem także niemieckiego. Przygotowywałem absolwentów żydowskich gimnazjów do egzaminu maturalnego w szkole w Łucku. Udzielałem bardzo dużo korepetycji. Zapisalem się też do gimnazjum żydowsko-polskiego, jeszcze raz do ósmej klasy, aby uzyskać dyplom ukończenia polskiego liceum.

Pierwszy raz byłem w Warszawie w latach 20. XX wieku. Kiedy ojciec zaczął pracować dla linii Red Star Line, zabrał mnie do Warszawy, bo oni mieli tam swoją centralę. Zdążyłem jeszcze zobaczyć tę cerkiew na placu Piłsudskiego. Na studia do Warszawy przyjechałem w 1933 roku. Pierwszego roku mieszkałem na ulicy Nowolipie 2, a następnie ulicy Długiej. Na Nowolipiu znajdował się zbankrutowany sklep; jeden Żyd wpadł na pomysł, jak na tym zarobić. Stał przed zamkniętymi drzwiami sklepu i nawoływał „dziw natury”, „wybryk z natury” „kobieta z brodą” „za dodatkowe 20 groszy można sprawdzić”. A w środku, w tym ciemnym, pustym sklepie, rzeczywiście stała owłosiona kobieta. Pamiętam, że na Długiej nie mogłem się uczyć, bo gospodyni wynajęła mi alkowę bez okna. I jak ona już o 22:00 gasiła światło to co ja wtedy miałam robić? Przechodziłem na drugą stronę ulicy, na Tłomackie 13. Spotykało się tam ludzi, którzy przeszli do historii. Tam poznałem Izraela Szterna znakomitego poetę, który w ogóle nie został doceniony. Poznałem też wiele innych osób.

Izrael Sztern był człowiekiem bardzo pobożnym i z tego powodu bardzo chudym: pościł, modlił się i pościł znowu; bardzo często recytował psalmy. Zmarł z głodu w czasie okupacji; to nie był człowiek, który nie był do życia stworzony w ogóle. Miał ten dany przez Boga dar poezji, który miało niewielu. Wiele lat po wojnie przetłumaczyłem wiersz Izraela Szterna "Ostrołęka", na prośbę młodych ludzi z Ostrołęki, fanów jego poezji. Tak więc Izrael Sztern zaistniał w polskiej literaturze dla przyszłych czytelników.

Nie byłem tak odważny, aby na Tłomackie 13 rozmawiać ze wszystkimi. Potem już tak, kiedy raz przypadkiem usiadłem obok Szterna i on zachęcił mnie do rozmowy. Na Tłomackie widywałem także Icyka Mangera. Chłonałem wszystko, co się tam działo, rozkoszowałem się obecnością wielkich żydowskich poetów i pisarzy. Zawsze działo się tam coś interesującego. To tam spotkałem Shaloma Asza, który co prawda przychodził rzadko, ale przychodził. Widziałem wielu pisarzy, np. Perlego. Większość siedziała przy barze. Co tydzień odbywały się spotkania z pisarzami albo aktorami, a ciekawe dyskusje zdawały się trwać wiecznie. Moja znajomość języka jidysz pochodziła właśnie stąd, wcześniej byłem zagorzałym hebraistą.

Raz Mangier wywołał wielki skandal. Mianowicie na jedno ze spotkań przyszedł pijany. Nie miał już pieniędzy na opłacenie noclegu, ponieważ wszystko wydał na alkohol. I kazał tym wszystkim ludziom siedzącym przy głównym stole prezydialnemu zejść, bo on na tym stole chciał spać. Oczywiście wyprowadzili go krzycząc. Rozwścieczony Mangier krzyczał „Ir zołt wi afajer brench - żebyście spalili się jak ogień, ir zołt niszt kanen trinken - żebyście nie mogli pić, ir zołt niszt kanen trenen - żebyście nie mogli spólkować!”. Tak właśnie wrzeszczał Mangier na Tłomackie 13. Parokrotnie spotykałem Izaaka Singera [45](#), ale żeby z nim rozmawiać to nigdy.

Być może to było w 1935 roku, kiedy przenieśliśmy się do żydowskiego akademika na Pradze. Wśród studentów było wielu komunistów, kilku betarowców i sporo darmozjadów. Najpierw mieszkałem w pokoju czteroosobowym, ale kiedy zacząłem zarabiać na korepetycjach, przenieśliśmy się do pokoju dwuosobowego. Tak się złożyło, że moimi sąsiadami byli dwaj wybitni żydowscy malarze, bracia Seidenbeutelowie. To oni nauczyli mnie grać w brydża. Mieszkali w tym akademiku, ponieważ byli biedni a to nie kosztowało zbyt wiele. Malowali w tandemie: jeden robił jedną część obrazu, a drugi drugą część. Malowali na wolnym powietrzu. Latem udawali się do Kazimierza [Kazimierz Dolny - żydowski kurort nad Wisłą w pobliżu Lublina].

O braciach Seidenbeutelach krążyła taka anegdota. Niedaleko był fryzjer, do którego raz przyszedł Efraim i ostrzega go od razu - niech pan dobrze mnie goli bo ja mam taki zarost, że po godzinie to on znowu odrasta. A on mówi, bądź pan spokojny, jak ja pana ogolę to za miesiąc nie będzie widać. I rzeczywiście ogolił go. Po godzinie jego brat przychodzi do tego fryzjera i mówi „Cóż, zobacz, jak wygląda mój zarost. Ostrzegałem cię, że musisz porządnie mnie ogolić!”. Fryzjer naturalnie wpadł w złość. Taka historia o nich krążyła. Byli bliźniętami, identycznymi. Przy okazji, Begin także mieszkał w tym domu.

To był jedyny żydowski akademik dla mężczyzn w Warszawie. Został wybudowany pod koniec lat 20. XX wieku. Pod względem architektonicznym to był wspaniały budynek. Pokoje były cztero, trzy i dwuosobowe. Na parterze znajdowała się stołówka, kupony na obiady można było otrzymać od organizacji samopomocowej. Na każdym piętrze znajdowały się aneksy kuchenne, w których można było przygotować kawę, herbatę a nawet coś do zjedzenia. Był też tani mały sklepik, w którym można było kupić podstawowe artykuły. Dyrektor i kierownik "Auxilium Academicum Judaicum" - którego siedziba stoi do dziś - był niesławnym członkiem 13, który współpracował z Gestapo w [warszawskim] getcie.

W akademiku mieściła się siedziba ZASS, Żydowskiego Akademickiego Związku Sportowego. Grałem tam w piłkę nożną i siatkówkę, chodziłem na basen. Od czasu do czasu w akademiku organizowane były tańce, o godzinie 17:00. Wiele kobiet z Pragi przychodziło na nie, szukając romansu.

W tym czasie uczęszczałem także do Instytutu Nauk Judaistycznych. Chodziłem na zajęcia Majera Bałabana na temat historii Żydów oraz na zajęcia z języka aramejskiego prowadzone przez Mojżesza Schorra. Studenci w Instytucie Nauk Judaistycznych pochodzili głównie z gimnazjów żydowsko-polskich oraz hebrajskich. Większość przedmiotów była nauczana w języku hebrajskim. Studia trwały cztery lata, po których uzyskiwało się tytułu magistra. Absolwenci Instytutu mogli zostać nauczycielami religii i historii Żydów w szkołach średnich. Ale jednocześnie taki absolwent musiał ukończyć też Uniwersytet Warszawski, ponieważ Instytut nie miał gładkiego państwowego.

Cały czas dorabiałem udzielając korepetycji. Uczyłem języka polskiego, łaciny, a czasem także niemieckiego. Tych bardziej durnych uczyłem prawie wszystkich przedmiotów, oprócz matematyki. Udzielałem prywatnych lekcji dziewczętom z gimnazjum Jehudyja na ulicy Długiej, oraz synowi Artura Golda [51](#), znanego kompozytora; dał mi wszystkie tomy Schillera po niemiecku z wdzięczności za dobre oceny syna. Za lekcje u fabrykanta ostrzy do golenia Polonia, który też nazywał się notabene Friedman, brałem za lekcję 5 złotych. Na ulicy Lwowskiej 7 to brałem 2,5 złotych.

Zrezygnowałem z kursu literatury polskiej, ponieważ był nudny. Zacząłem natomiast uczęszczać do Wyższej Szkoły Dziennikarstwa. Mieściła się ona w gimnazjum Reya na ulicy Rozbrat, gdzie dzisiaj jest siedziba SLD. Pisanie reportaży nauczyłem się od samego Wańkowicza. Zacząłem studiować dziennikarstwo w 1934 roku i ukończyłem je dopiero w roku 1938, ponieważ miałem przerwę w studiowaniu. Program składał się z trzech semestrów letnich, ale po ich ukończeniu nie otrzymywało się tytułu magistra. Magistra otrzymałem tuż po wojnie, na Wydziale Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego.

Zawsze po rozpoczęciu roku akademickiego miały miejsce pewne antysemityczne kłótnie. Pamiętam, że w Wyższej Szkole Dziennikarstwa raz ktoś na wielkiej tablicy napisał: „Prof. polonistyki Bolewski - Baumfeld, Prof. ekonomii politycznej Żelazowski - Aizenbaum, Prof. Wasławski - Wascug”. Od tego się zaczęło przepychanie Żydów na lewą stronę sali wykładowej. Żydzi nie zajmowali miejsc po lewej stronie, wysłuchiwali wykładów na stojąco, i często dochodziło do kłótni. Co roku powtarzało się to samo i z każdym rokiem było coraz gorzej. W akademiku na Pradze odbyły się spotkania z wykładowcami. Przychodził Prof. Michałowski z Klubu Demokratycznego, kiedy były awantury na uniwersytecie, przychodził Dibua z PPS-u, solidaryzować się ze studentami żydowskimi.

1 września 1939 roku byłem jeszcze w akademiku. Potem, jak sądzę, przeniosłem się na Nalewki. Opuściłem Warszawę przed końcem roku. Potem wróciłem do Kowla. Moja starsza siostra Regina w gminie żydowskiej, jako maszynistka. Moja młodsza siostra chodziła do dziesięcioletniej szkoły rosyjskojęzycznej. Mama pracowała jak zwykle. Wróciłem do udzielania korepetycji. Przez krótki czas byłem nauczycielem języka polskiego i historii; następnie zostałem trenerem klubu sportowego „Lokomotif”. Zarabiałem wtedy całkiem spore pieniądze.

Kowel, w którym było około 20 tysięcy mieszkańców, w pierwszym okresie rządów sowieckich zamieszkiwało 60 tysięcy osób, jeśli nie więcej. Zdecydowana większość z nich to byli bieżący z Krakowa, Warszawy czy z Łodzi. Kiedy Rosjanie zaczęli deportować bieżących na Syberię, zaczęło się zamieszanie z powrotem do centralnej Polski. Wtedy jeszcze Niemcy nie przystąpili do masowych mordów. To było w 1940 roku. Została powołana specjalna komisja, w której trzeba było się zarejestrować, aby móc powrócić pod okupację niemiecką.

Nie służyłem w polskiej armii, ponieważ w 1934 roku przestali przyjmować Żydów do szkół oficerskich, aby nie szkolić Żydów jako oficerów. Polacy legitymujący się dyplomem ukończenia szkoły średniej mogli odbywać roczną służbę wojskową w szkołach oficerskich, ale nie Żydzi.

## Podczas wojny

Byłem w Armii Czerwonej od 1941 roku. Zostałem powołany na trzy miesiące szkolenia tuż po wybuchu wojny [tzw. Wielka Wojna Ojczyźniana]. W poniedziałek miałem otrzymać stopień sierżanta i wrócić do domu, ale wojna rozpoczęła się w niedzielę 22 czerwca. Odbywałem służbę wojskową 12 kilometrów od Kowla. Była piąta nad ranem, kiedy na niebie pojawiły się niemieckie samoloty i zaczęły wszystko ostrzeliwać.

Zniszczyli samoloty naszych sił powietrznych, ostrzeliwali budynki koszar zabijając dziesiątki ludzi. Zrobił się straszny chaos, zaczęliśmy się wycofywać. Mieliśmy kilka samochodów. Jechaliśmy cały czas pod ostrzałem niemieckich samolotów. Kierowaliśmy się na wschód przez lasy, atakowali nas też Ukraińcy. Około 100 z nas udało się dotrzeć do Kijowa.

Stalin wydał rozkaz, aby wszystkich „kresowiaków” [Polaków żyjących na zajętych przez Sowieców terenach dawnej wschodniej Polski, dziś należących do Ukrainy, Białorusi i Litwy] przenieść do obozów pracy. Odebrano im broń, ponieważ uważano ich za niewiarygodnych. Dowódcą mojego batalionu, batalionu konstrukcyjnego, był stary bolszewik Izaak Jakowlewicz Limanov. Twierdził, że jest Ukraińcem, ale za każdym razem, gdy wypowiadał jakieś słowo, wiedziałem, że pochodzi ono z

głębin Talmudu. Był inteligentnym, dobrze wykształconym człowiekiem.

Co budowaliśmy? Cóż, rowy przeciwczołgowe, „maskirowki” lub wały służące do ukrywania samolotów. Nie mieliśmy żadnej broni. Dostawaliśmy 800 gramów chleba dziennie, gdy inne bataliony, bataliony robotnicze, dostawały 400 gramów chleba. Zaczęliśmy się wycofywać z Kijowa, aby realizować projekty w głębi łądu. Przed Charkowem droga stała się błotnista, nasze samochody nie mogły się przedostać. Utknęliśmy w miejscu o nazwie Bogoduchov. Niemcy wtedy dotarli już aż do Charkowa i mogliśmy wpaść w ich ręce każdego dnia. Cud zdarzył się w nocy: temperatura spadła poniżej zera, a ziemia zamarzała; byliśmy w stanie jechać dalej.

Cywile zaczęli przechodzić przez Bogoduchov. Wśród uchodźców spotkałem znajomego z mojego rodzinnego miasta. Nazywa się Zelcer. Do dziś mieszka w Jerozolimie. W rzeczywistości żyje dzięki mnie. Razem z resztą uciekał na wschód - kiedy mnie zobaczył, podszedł do mnie i powiedział: „Zrób coś, nie mogę już dalej iść”. Więc poszedłem do Limanowa, dowódcy, i powiedziałem mu: „To mój przyjaciel, jest dentystą”. Tak się złożyło, że dowódca batalionu cierpiał właśnie na ból zęba, a jego twarz była spuchnięta. Zelcer był technikiem dentystycznym. Limanow wydał rozkaz natychmiastowego zapewnienia Zelcerowi munduru i został z nami jako lekarz.

Z Niemcami deptającymi nam po piętach ruszyliśmy na północ, w stronę Woroneża. Tam Don ma swoje źródło. Idąc w dół rzeki, maszerowaliśmy do stanic; tak nazywają się wsie kozackie [59](#). Kozacy nadal mieli swoje mundury i broń z czasów caratu. Ich domy były ładniejsze i lepiej zbudowane; miały podmurówkę z cegły. Przez śnieg, przez zamrzniętą rzekę dotarliśmy do jednej stacji, Niżniczirskoj Stacji. Tam przyporządkowałem swoich ludzi do kwater. Znalazłem dom dla siebie z czystą oborą, gdzie zobaczyłem dwie krowy. Pomyślałem, że dostanę tam trochę jedzenia.

I rzeczywiście przyjęli mnie z wielką gościnnością. Nie było prawie żadnych mężczyzn, tylko jeden kaleki mężczyzna, weteran japońskiej wojny, pozostali mężczyźni byli na froncie i w wiosce zostały tylko kobiety. Miałem wszy. Kiedy przygotowali mi łóżko, dali mi bardzo ładne, czyste prześcieradła, rozebrałem się i powiesiłem koszulę na zewnątrz, aby mróz zabił wszy. Nie raz tam zachorowałem. Wieczorem zebrali się sąsiedzi, a potem usłyszałem pytanie: „Kto to takoj?” [Kim jesteś?]; więc powiedziałem im skąd jestem i że jestem Żydem. Powiedzieli: „Nie może być!” Nigdy nie widzieli Żyda, ale ich postawa była oczywiście negatywna. Według rosyjskich standardów mieszkali dość wygodnie i byli bardzo dobrze przygotowani do zimy. Mieli doskonałe mleko - bardzo tłuste i smażone bliny - naleśniki ziemniaczane ze śmietaną. Oczywiście miałem kuchnię polową, na której gotowaliśmy kaszę jaglaną. Wieczorami mieszkańcy gromadzili się, aby słuchać opowieści z Polski. „Ile masz garniturów?” zapytali. „Wyrzucałeś buty dwa, a może trzy razy w roku?”.

Reszta batalionu przebywała w różnych domach. W godzinach porannych odbywał się apel, a potem ruszaliśmy do pracy. W tym mrozie zaczęliśmy rąbać ziemię łomami, żeby zbudować nasyp kolejowy. Temperatura spadła do -30 stopni Celsjusza. Kiedy rano wydawano kaszę zamarzała zanim zdążyłeś sięgnąć po łyżkę. Łyżka była ważna: jeśli ktoś jej nie miał, mógł umrzeć z głodu. Wyrzeźbiliśmy je z drewna i trzymaliśmy w butach. Często wychodziliśmy do pracy w nocy, ponieważ w ciągu dnia startowały samoloty, a śnieg musiał być zeskrobywany z asfaltu za pomocą pługów. Potem budowaliśmy tory kolejowe między Stalingradem i Saratowem, gdy zbliżali się Niemcy. To było w 1942 roku.

Później stacjonowaliśmy pod Kamyszynem, w miejscowości Miortowszyna [?] w powiecie Biezsonskij [Bessonovskij]. Mieszkałem w domu nauczycielki. Miała trzyletniego syna, który ciągle ssał jej pierś z głodu. Ale w domu były książki, które mogłem czytać. Mieszkając w Kamyszynie jeździłem saniami, aby zdobyć zapasy. W drodze często gonili nas watahy wilków. Wtedy podpalałeś trochę siana i rzucałeś wilkom, żeby je odstraszyć.

To musiał być 1943 roku, kiedy nasz batalion został przeniesiony na południe, na wybrzeże Morza Kaspijskiego. W miejscu gdzie Ural wpada do morza i na dopływ - rzekę Embę - były złoża ropy naftowej. Ponieważ siły niemieckie zbliżały się do Kaukazu i do Baku, gdzie znajdowały się główne pola naftowe, Rosjanie musieli zacząć wydobywanie ropy z Emby. W przeszłości nie było to opłacalne, ponieważ złoża znajdowały się na dużej głębokości i były ograniczone. Ale w tym czasie Rosjanie musieli zacząć budowę rafinerii. Zaczęły przybywać transporty z amerykańskim sprzętem, w amerykańskich skrzyniach z listami ładunków. Dowódcy wezwali mnie i kazali mi tłumaczyć listy. Powiedziałem: „Nie znam angielskiego”. „Hm hm, nie znasz angielskiego? A jaki jest polski alfabet?” Powiedziałem: „łaciński”. „A alfabet angielski?” „łaciński” - mówię. „Cóż, więc znasz angielski! Jeśli nie znasz słów, pomożemy Ci.” I tak zostałem ekspertem od angielskiego w naszym batalionie.

W 1943 roku spotkaliśmy się z grupą Polaków, którzy zamierzali dołączyć do Pierwszej Dywizji Wojska Polskiego [I Dywizja Piechoty Kościuszki]. W batalionie, w którym służyłem, byli też inni ludzie pochodzący z mojego miasta. Jednym z nich był Mojsze Szajewicz Szojt, bardzo dobry krawiec. I pewnego dnia powiedział do mnie: „Wiesz co? Mam dość tego wszystkiego. Zamierzam zgłosić się do Wojska Polskiego.” On i inny człowiek, Baumgart, udali się do „wojenkomatu” [zarząd wojenny], mówiąc, że chcieliby dołączyć do sił zbrojnych Związku Patriotów Polskich, który właśnie powstawał. Wysłali ich natychmiast do dowódców w celu ukarania. Szojt jednak miał szczęście i za jakiś czas dostałem od niego list. „Wyobraź sobie - zamówili ode mnie garnitur dla Stalina”. I ten Mojsze Szajewicz Szojt z Kowla uszył ubranie dla Stalina.

Później, kiedy stacjonowaliśmy w Gurjewie [kazachskim mieście położonym w miejscu, gdzie rzeka Ural wpada do Morza Kaspijskiego; obecnie Atyrau], stałem się swego rodzaju sierżantem biznesowym. Stacjonowało tam kilkadziesiąt batalionów. Mój batalion liczył około stu osób, większość z nich stanowili Ukraińcy. Niewielu z nich było Polakami i Żydami. Później wcielali członków represjonowanych rodzin i ludzi nazywanych „nacmenami” [ludzi narodowości innej niż rosyjska], lub przedstawicieli mniejszości etnicznych: Kazachów, Uzbeków lub Czeczenów i innych takich „niepewnych”. Pamiętam jednego inżyniera. Nazywał się Usow, bardzo inteligentny człowiek. Nie został przyjęty do regularnej armii, ponieważ jego krewny był aresztowany za propagandę polityczną.

Powiedziałem im w Gurjewie, że chcę być przeniesiony do polskiej armii. Był początek 1944 roku. Dostałem rozkaz i udałem się do wyzwolonej części Ukrainy, do Sum. Pociąg nie jeździł regularnie. Lokomotywy były zatrzymywane i rekwirowane na potrzeby wojska. Stacje kolejowe były pełne ludzi. Posiadanie biletu nie wystarczyło. Każdy bilet musiał zostać zatwierdzony, wymagana była specjalna pieczęć. Wtedy osoba odpowiedzialna za pociąg, najczęściej kobieta, wpuszczała cię do wagonu. W tym momencie zaczynało się okropne zamieszanie i wrzaski, ponieważ nie było wystarczająco miejsc dla wszystkich - w tym czasie wszyscy na terytorium Rosji się przemieszczali. Moim towarzyszem podróży był Ukraińiec.

Nazywał się Zacharczuk. Przyłgnął do mnie z przerażającym uporem. Musieliśmy zostać na dworcu przez wiele dni i tam nocować. Zacharczuk i ja sypialiśmy na zmianę z powodu ogromnej liczby kradzieży. W małym worku miałem buty i trochę jedzenia. Nieustannie budziłem się i pytałem: „Słuchaj, trzymasz ten worek?” „Trzymam.” I faktycznie trzymał. Tyle tylko, że ktoś przeciął dno i ukraść buty i puszki.

Na dworcu spotkaliśmy polskiego oficera. Od wielu lat nie widziałem polskiego munduru wojskowego. Był luty 1944 roku. Ludzie przyjeżdżali z różnych stron, także z Polski. Wśród nich byli oficerowie i dowództwo organizowanej armii. Przeprowadzano selekcję do różnych oddziałów. Ktoś, kto był cieślą lub stolarzem, mógł zostać wysłany do oddziału saperów. Ci, którzy mieli niewielkie wykształcenie, przechodzili krótki kurs oficerski trwający kilka miesięcy. Ludzie z, powiedzmy, zapleczem biznesowym zostaną przydzieleni do obsługi kwatermistrza. To było jak targowisko. Przybył generał Świerczewski, główny dowódca; jego zastępcą był wówczas major Grosz. Grosz, później znany eseista, przed wojną przetłumaczył „Lejzorka Rojtszwańca” [powieść Ilji Erenburga]. Zaproponowano mi stanowisko instruktora w Pierwszym Pułku. Prowadziłem wykłady na temat sytuacji politycznej, historii, literatury polskiej. W tym czasie przywożono ludzi z całego świata, aby przyłączyli się do armii polskiej, w tym Żydów, którzy zgłosili się na ochotnika do armii Andersa i zostali odrzuceni. Moim własnym dowódcą był sowiecki Polak lub Polak urodzony w Związku Radzieckim i zrusyfikowany. Miałem wykształcenie wyższe, więc zostałem wysłany jako instruktor do szkoły oficerów politycznych w Sumach.

Kiedy wracałem z Rosji wojskowym pociągiem, który przejeżdżał przez Kowel, poprosiłem mojego dowódcę o przepustkę i poszedłem do miasta, żeby poszukać pozostałości naszego domu. Był rok 1944. Przez cały ten czas nie miałem kontaktu z bliskimi. Z kilku miejscowości wysyłałem listy do mojej rodziny, ale nie wiem czy doszły. A teraz byłem w drodze do Lublina. Szedłem przez zrujnowane miasto. Dom, w którym kiedyś mieszkałem, już nie istniał.

Znalazłem jedną znajomą, żydowską kobietę, która postradała zmysły. Chodziła gadając bzdury. Miała małe dziecko, które zaczęło strasznie płakać, kiedy ukrywali się w jakimś bunkrze. Było tam też kilkadziesiąt innych osób, które udusiły dziecko. Z całego miasta przeżyło dziewięć osób. Z 18.000 Żydów. Natknąłem się na przyjaciółkę mojej siostry, Polkę. Dała mi kilka ocalałych zdjęć. Opowiedziała mi szczegółowo, jak to się stało. Dowiedziałem się o mękach, przez które przeszli Żydzi, o tym, jak zostali umieszczeni za drutem kolczastym. Przez cały ten czas Marysia, ta polska dziewczyna, spotykała się w tajemnicy z moją siostrą.

Moja starsza siostra, Regina, wyszła za mąż za bieżęńca, laryngologa z Warszawy. Nazywał się Fryde. Była w ciąży, niedługo miała rodzić. Moja młodsza siostra ukrywała się poza gettem. Była w bardzo dobrym miejscu, gdzieś w Kowlu z polską rodziną. Ale gdy usłyszała, że Niemcy otoczyli getto i zabrali wszystkich żeby ich rozstrzelać, opuściła swoją kryjówkę i dołączyła do matki i siostry. Mama i obie moje siostry zostały zamordowane.

Około siedmiu kilometrów za miastem znajduje się ogromny grób - bardzo długi rów. Nie chciałem tam iść. To miejsce nazywa się Koszary. Kiedy zostali otoczeni przed egzekucją, mój nauczyciel historii, Josef Abruch, wygłosił mowę. Powiedział, że naród żydowski żył, żyje i będzie żył. Zostali zmuszeni do rozebrania się od pasa w górę, a następnie zastrzeleni.

Poszedłem tylko do synagogi. Ludzie mówili, że skazani na śmierć zostawili na ścianach napisy. To była synagoga Eppelbauma. Na ścianach były inskrypcje. Ktoś napisał: „Jest piękny letni dzień – myślę, że był sierpień - i mam umrzeć jutro, ale tak bardzo chcę żyć.” I imię: Wydra. Znałem ją, byliśmy bardzo bliskimi przyjaciółmi. Była jedną z nielicznych [żydowskich] absolwentów gimnazjum Słowackiego. Jej ojciec był lekarzem, a ja często ich odwiedzałem. Było kilkadziesiąt takich napisów. Jak oni się tam znaleźli? Niemcy wywieźli wszystkich Żydów z miasta, do Koszar. Kazali im wykopać grób, a potem zastrzelili wszystkich jednego po drugim. Trwało to kilka dni. Niektórym udało się uciec. A potem wszyscy, którzy nie zginęli w Koszarach, zostali wyłapani, zebrani w jednym miejscu, rozstrzelani w masowej egzekucji. Przed śmiercią pisali na ścianie w synagodze. Jedna kobieta, miała na imię Gips - oszałamiająco piękna dziewczyna - miała dwoje dzieci, a jej mąż był w Rosji. Napisała mu list na tej ścianie: „Pomścij niewinną śmierć swojej żony i dzieci”.

## Wyzwolenie Warszawy

Dotarłem do Lublina po 22 lipca 1944 roku. Zostałem tam aż do wyzwolenia Warszawy. Uczyłem w szkole oficerskiej. Dzień po wyzwoleniu Warszawy pojechałem tam, żeby sprawdzić czy uda mi się kogoś znaleźć. Widziałem ruiny i wielką pustkę. Nie dało się określić na jakiej ulicy byłęś. Dzielnica żydowska została zrównana z ziemią, inne ulice również. Wróciłem bardzo szybko. Następnie szkoła oficerska została przeniesiona do Łodzi. To tam powstały wszystkie ważne instytucje. W tym czasie brano pod uwagę przeniesienie stolicy z Warszawy do Łodzi. Pozostałem w Łodzi do 1946 roku. Wtedy zostałem przeniesiony do Szkoły Oficerów Piechoty w Inowrocławiu na stanowisko zastępcy dowódcy. Zostałem majorem. Stamtąd wysłali mnie do Krakowa, do Szkoły Oficerskiej Piechoty. Od 1947 roku byłem we Wrocławiu. Zorganizowałem wieczorowe liceum dla kadetów, ponieważ nie mieli dyplomów ukończenia szkoły średniej. Pojawiło się wtedy hasło: „nie matura lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera”. Zatrudniłem tam całą plejadę nauczycieli i wszyscy dostali dyplomy za trzy lata.

W Lublinie powstał klub żydowski dla ocalałych. Nosił imię Pereca i znajdował się przy ulicy Lubartowskiej. Nadeszło święto Sukot. Byłem na służbie i pomyślałem sobie: „Chodźmy zobaczyć. Być może wpadnę na kogoś.” Podano kolację. Siedziałem tam w mundurze - nie przypominam sobie teraz, czy byłem wtedy porucznikiem, czy podporucznikiem - i naprzeciwko siedział mężczyzna, i wydawało mi się, że go poznaję. Nagle mówi do mnie: „Friedman?” A ja mówię: „Feldszu!” To był mój ostatni nauczyciel z Kowla! Objęliśmy się nad stołem. Najpierw on wznosił toast, a później ja. Najwyraźniej uświadomił sobie, że pozostanie w Polsce jest nierozsądne. Mógł zostać schwytyany za bycie syjonistą i prawicowcem. Wyjechał do Izraela.

W Lublinie i Łodzi utrzymywałem kontakt z Żydami. Często do nich wpadałem. Gdy w 1946 roku spotkałem w Łodzi znajomego mojego kuzyna spytał: „Czy wiesz, że Regina nie żyje?”. Chodziło o Reginę Zonenszajn, jej matka była starszą siostrą mojego ojca, nazywała się Rybicka po mężu. Jej mąż był prawnikiem w Warszawie. Przeżyła, mimo że przebywała na Pawiaku [centralne więzienie Warszawy w czasie okupacji niemieckiej]. Jej głowa została zmierzona przez niemieckiego antropologa, który wywnioskował, że jest „aryjką”. Regina ukrywała swojego męża, znanego prawnika, który nazywał się Rainberger. Kiedy wyszła na zewnątrz, żeby zaczerpnąć wodę ze studni, bomba uderzyła w dom i zabiła jej męża.

Józef Kermisz, doktor historii, dołączył do naszej szkoły, gdy byliśmy jeszcze w Żytomierzu. A później, w 1947 roku w Łodzi, powołano Centralną Żydowską Komisję Historyczną, która dokumentowała historię Holokaustu. Jej członkami byli działacze Bundu, Szuldenfrei, Adolf Berman, Rachela Auerbach i Kermisz. Utrzymywałem z nimi kontakt. Zaufałem im, a oni zaufali mnie. Poza tym Komisja był dla mnie źródłem wszelkiego rodzaju informacji. We Wrocławiu uczęszczałem na wszystkie przedstawienia Teatru Żydowskiego w cywilnych ubraniach. Od czasu do czasu czytałem żydowskie gazety. Wydawano wtedy kilka gazet, w tym niektóre w języku polskim.

Pamiętam, że raz we Wrocławiu, było to w maju, w 1948 roku spotkałem oficera, Żyda, który zaczął mi gratulować. Spytałem go: „Czego mi gratulujesz?” „Mamy Palestynę. Ustanowiono Izrael.” Byłem oszołomiony. Nie myślałem o wyjeździe. Cóż, był to w pewnym stopniu oportunistyczny, trochę próżność. Zajmowałem ważne stanowisko, miałem stopień podpułkownika, i byłem niezachwianie lojalny. Wierzyłem, że kiedyś nadejdzie dzień, w którym pojedę.

## Moja żona Teresa

Poznałem studentkę medycyny. To było we Wrocławiu w 1949 roku. Odprowadzałem ją do domu, kiedy zaczęła przesłuchanie: „Czy masz tu rodzinę? Czy jest Pan żonaty?” Powiedziałem: „Nie, nie jestem żonaty, ale niedługo się ożenię.” „Z kim, jeśli mogę zapytać?” „Z tobą.” Teresa pochodzi z Przemysła. Jej panieńskie nazwisko to Lichota. Wywodzi się z dość zamożnej żydowskiej rodziny. Lata wojny spędziła na Węgrzech. Jej ojciec był lekarzem i został powołany do wojska. Cały jego pułk przekroczył granicę i został internowany. Węgrzy byli niewiarygodnie przyjaźnie nastawieni do Polaków. Rodzina mojej żony pozostawała tam przez cały czas jako polska rodzina. Teresa wróciła do Polski w 1945 roku. Tak więc pobraliśmy się i ostatecznie osiedliliśmy się w Warszawie. W 1951 roku w Łodzi urodził się Andrzej, nasze jedyne dziecko. Obecnie jest profesorem neurologii w Warszawie.

Wkrótce zostałem przeniesiony do Warszawy, jako szef wydawnictwa ministerstwa obrony. Było to związane z tendencją do polonizacji wojsk - w tamtym czasie, jak sądzili, było zbyt wielu żydowskich żołnierzy w armii. Był styczeń 1952 roku i Adam Bromberg, szef tego wydawnictwa, otrzymał awans na wiceministra, a ktoś musiał przejąć jego pracę. Pod pewnymi względami była to dla mnie degradacja.

Zostałem dyrektorem zarządu wydawnictw. Pracowałem tam przez dziesięć, może jedenaście lat, aż do 1960 roku. Następnie zostałem nagle wysłany na tak zwany kurs akademicki w Akademii Sztabu Generalnego. W ciągu jednego roku przeszedłem zasadniczo cały program. Ukończyłem kurs, ale nie było dla mnie pracy. Odebrałem pensję w dziale personalnym i wróciłem do domu. Później zostałem zastępcą dyrektora Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej. Spędziłem tam cztery lata. Nadszedł rok 1967 [rok czystek antysemitycznych]. Wszyscy Żydzi, łącznie ze mną, zostali zwolnieni z wojska z wielkim hukem. Nie żeby było nas wielu, może 200. Zostałem wydany z partii i wysłany do domu. Najpierw pielęgnowałem poczucie osobistej krzywdy, potem czułem, że krzywda została wyrządzona całemu ocalałemu narodowi, ale w końcu zrozumiałem, że dokonałem błędnego osądu. A potem znalazłem się, jak to mówią, na ulicy i w próżni. Tylko w tej pustce znalazłem dla siebie powołanie. Jako tłumacz i nauczyciel języków żydowskich!

## Praca tłumacza i nauczyciela języków żydowskich

Jak to się naprawdę zaczęło? Co skłoniło mnie do podjęcia decyzji o tłumaczeniu? Zaczęło się od wściekłości, która mnie ogarnęła podczas czytania „Literatury na Świecie”. Ten doskonały periodyk publikował literaturę najdrobniejszych nawet narodów, ale nie dostrzegał wielkiej literatury żydowskiej, która była dosłownie pod ręką. Tak więc, napędzany w rzeczywistości gniewem, zwłaszcza że działo się to po wydaleniu ostatnich Żydów [odniesienie do 1968 r. i ostatniej fali emigracji polskich Żydów], po tym jak znalazłem się na ulicy [Michał Friedman został zmuszony do odejścia na wcześniejszą emeryturę], zaproponowałem redaktorowi naczelnemu „Literatury na Świecie”, że przygotuję materiał poświęcony literaturze żydowskiej. Przedstawiłem mu fragmenty najsłynniejszych książek wybitnych pisarzy żydowskich: Szolema Alejchema, Pereca, Mendele Mojchera Sforima, Icyka Mangera i Altera Kacyzne. I on się na to zgodził.

Wcześniej tłumaczyłem żydowskie opowiadania dla Folkssztyme i niektóre sztuki dla teatru żydowskiego. Tłumaczyłem też symultanicznie dialogi z jidysz na język polski, widzowie słyszeli je w słuchawkach. Cieszyłem się, że dzięki „Literaturze na Świecie” dotrę do inteligentnego czytelnika, który nie miał pojęcia, jaką literaturę Żydzi stworzyli w tak krótkim czasie. Bo w rzeczywistości literatura w jidysz właśnie się pojawiła i zaczęła osiągać szczyt swojego potencjału, kiedy została zabita. To wydanie „Literatury na Świecie” było wielkim sukcesem i od razu otrzymałem zlecenie od PIW [Państwowy Instytut Wydawniczy]. Tłumaczenie „Księgi Raju” Mangera: bardzo dowcipna historia, która stała się bestsellerem.

Później skontaktował się ze mną Wojdowski, który znał moje przekłady opublikowane w „Literaturze na Świecie” i poprosił o więcej tłumaczeń. Przetłumaczyłem dla niego kilka opowiadań Suckewera z jego tomu „Zielone akwarium”. Zostały opublikowane w Masadzie, kwartalniku redagowanym przez Wojdowskiego.

Na początku lat 80. XX wieku odwiedzili mnie przedstawiciele Wydawnictwa Dolnośląskiego, którzy chcieli wiedzieć, czy mogę przygotować dla nich plan publikacji serii żydowskich klasyków. Bardzo mi to pasowało. Zrobiłem taki plan składający się z ponad dwudziestu tytułów, a moje tłumaczenia zaczęły się pojawiać w dużych wydaniach. Nie ma ani jednego klasycznego żydowskiego pisarza, który nie zostałby przeze mnie przetłumaczony. Seria była wydawana od 1983 roku. Do tej pory wydano piętnaście tomów, w tym trzynaście moich przekładów. Nigdzie indziej na świecie nie opublikowano całej serii literatury żydowskiej tak, jak to zrobiło Wydawnictwo Dolnośląskie w Polsce!

Odwiedziłem Suckewera w Tel Awiwie w połowie lat 90. XX wieku. Mówił doskonale po polsku. Jego dom jest prawdziwą galerią sztuki. Przyjaźnił się z Chagallem, a ten podarował mu wiele pięknych przedmiotów. Więc rozmawialiśmy o moich tłumaczeniach jego opowiadań. Zachowałem list, który Suckewer napisał do mnie, o tym, jak bardzo był zachwycony transpozycją znaczeń ukrytych za słowami jidysz na język polski. Te krótkie opowiadania wyprzedzały się bardzo szybko i otrzymały bardzo dobre recenzje.

Mimo, że pisał całkiem niezłe opowiadania, Suckewer jest przede wszystkim poetą. Moim zdaniem jednym z najwybitniejszych poetów na świecie. Człowiek, który uczynił jidysz czymś w rodzaju narzędzia do werbalizowania najdelikatniejszych i najbardziej subtelnych odcieni znaczeń, które

mogą pochodzić z serca i umysłu. Jest wynalazcą najbardziej błyskotliwych neologizmów. Bardzo trudno jest go przetłumaczyć, znaleźć odpowiednie terminy w języku polskim. Uważam, że jest najwybitniejszym żydowskim poetą na świecie, który miał pecha. Był wielokrotnie nominowany do Nagrody Nobla. Ostatnio wygrał Izaak Baszewis Singer - którego Suckewer nie mógł znieść - który wyrwał mu Nobla.

Moim zdaniem, Singer jest bardzo dobrym pisarzem i godnym laureatem nagrody [Nobla]. Wielu krytyków uważa, że nie dorównywał swemu bratu Jehoszui Singerowi. Jest jeden powód, dla którego twierdzą, że byli na równi, a w pewnym momencie przewyższył swojego brata. Podczas gdy Jehoszua jest wyjątkowo zamknięty w świecie żydowskim, Baszewis Singer wprowadził tematy, elementy, które można z łatwością przenieść do literatury światowej. Bellow [Saul Bellow, urodzony w 1915, w Kanadzie amerykański powieściopisarz] przetłumaczył go na angielski i te tłumaczenia były niesamowite. Moje własne przekłady opowiadań Singera zostały opublikowane w różnych periodykach. Kiedy Singer otrzymał Nobla w 1978 roku, przetłumaczyłem jego opowiadanie „Mendel Grabarz” dla „Przekroju” [ilustrowany tygodnik]. Muza [polski wydawca Singera] zawsze spieszyła się z publikacją i opublikowała go w tłumaczeniach z angielskiego, które często były kiepskie.

Singer wprowadził czytelnika do egzotycznej literatury żydowskiej, pokazał mu fragmenty świata chasydzkiego, przesycone mistycyzmem i jakimś nowym erotyzmem, którego wcześniej nie widziano w literaturze. Jest on wybitnym pisarzem, który znalazł swój moment. Percec, największy żydowski pisarz, w ogóle nie zaistniał w światowej literaturze, a Szolem Asz już tak. To w dużej mierze kwestia szczęścia, szansy.

Asz miał szczęście ożenić się z bardzo ładną, bardzo postępową i bardzo energiczną kobietą, która wprowadziła go w świat inteligencji, świat polskich pisarzy. Jej ojciec był wybitnym znawcą języka polskiego i nauczycielem języka hebrajskiego. Żyjący w tym samym czasie, Icie Meir Weisenberg, pisarz obdarzony ogromnym talentem, zadebiutował opowiadaniem o tym samym tytule, co historia Asza - „Miasteczko”. Dowiódł swego wielkiego talentu, ale poślubił jędzę, piekielną kobietę, która nie pozwoliła mu pracować, nękała go, i w rezultacie nigdy nie opuścił granic żydowskiego świata. Asz był jedynym pisarzem, który zarabiał na życie pisząc. Przetłumaczyłem trzy jego dzieła: „Mąż z Nazaretu”, „Czarodziejka z Kastylii”, czyli osiem opowiadań, piękną książkę i „Kidusz Haszem”.

Asz był urzeczony tematem tych śladów chrześcijaństwa, które rozwinęły się z żydowskich korzeni. Nie chcieli drukować go w Forwerts; zatrzymali druk „Męża z Nazaretu”, nieprawdaż? Pewnego rodzaju cenzura. Redaktorem, nie pamiętam jego imienia, mógł być Rozenberg, zorganizowano jego bojkot, jako zdrajcy i odstępcy. W Palestynie, gdzie mieszkał Asz, była demonstracja przeciwko niemu. To musiał być 1940 rok. Powstał Komitet Obrony Asza pod przewodnictwem Mordechaja Canima, imigranta z Polski i znakomitego dziennikarza, i wydali go po hebrajsku. Wdowa po nim miała cały jego dorobek. Mieszkała w Londynie. Poprosiłem ją, żeby mi to udostępniła. Nie chciała, ponieważ żywiła wielką urazę do Żydów. Na pogrzeb Asza w Londynie przybyło nie więcej niż siedem osób. Żydzi go zbojkotowali. A był genialnym pisarzem.

Percec także, jak uważam, był wielkim pisarzem, który nie miał szczęścia. To jest inny rodzaj literatury, pochodzi z innego świata. Percec nie był ortodoksyjnym Żydem zamkniętym w Talmudzie, ponieważ miał świeckie wykształcenie. Korespondował z narzeczoną po polsku. Napisał swoje

pierwsze wiersze po polsku. Jest tam piękne opowiadanie w języku jidysz pod tytułem „Dusza”, które sam przetłumaczył na język polski. Później ja również je przetłumaczyłem i opublikowałem w kolekcji „Opowiadania chasydzkie i ludowe”. W tej sprawie doszło nawet do sporu z Chone Szmerukiem [znawcą jidysz i historykiem], który chciał razem ze mną pracować nad serią. Szmeruk zaproponował, abyśmy opublikowali oryginalne tłumaczenie. Było tak słabe, że nie mogłem się zgodzić. Przetłumaczyłem kilka opowiadań Pereca.

Kiedyś przetłumaczyłem „Żydów dnia powszedniego” Perlego. Była to część trylogii, nad którą pracował w getcie warszawskim. Drugi i trzeci tom zawsze trzymał w walizce, z którą wszędzie chodził. Któregoś dnia na ulicy doszło do łapanki, został złapany, a walizka gdzieś została. Rachela Auerbach [68](#), która go szukała, pobiegła po walizkę, ale już jej nie było. Perle został zabity w getcie.

Dzisiaj planuję swój tydzień pracy z góry, ale pracuję każdego dnia, co pozwala mi pozostać w formie. Kiedyś byłem niesamowicie produktywny. Kiedyś tłumaczyłem, można by powiedzieć, z głowy, ale teraz muszę intensywnie myśleć. Na publikację Wydawnictwa Dolnośląskiego czekają moje przekłady Baszewisa - dziesięć opowiadań przetłumaczonych z oryginału - i moje największe osiągnięcie „Agady talmudyczne”. Opublikowali już moje „Midrasze”, a teraz kolej na „Agady”, które mają około 600 lub 700 stron.

Właśnie skończyłem tłumaczenie Kacyzne. Tytuł brzmi „Silni i słabi”. Chodzi o okres obejmujący początek I wojny światowej, narodziny Polski i rewolucję sowiecką. Czas rosnącego rozwarstwienia w społeczności żydowskiej, kryzys jednych ideologii i narodziny nowych, a także zawiera bardzo dużo faktów historycznych. Jest to bardzo interesująca powieść, ale czasami pisanie jest tak strasznie trzeciorzędne, że doprowadza mnie do szału. Jest również wiele powtórzeń, takie proste błędy edycji. Aby ominąć niektóre rzeczy, wycinałem czasem fragmenty tekstu. Niestety, straciłem dwa duże rozdziały ponieważ moja sekretarka z gminy żydowskiej, Polka, która przepisywała dla mnie tłumaczenia od 20 lat i mogła odczytać moje pismo lepiej niż ja, umarła nagle w pracy. Ukryła te teksty gdzieś w taki sposób, że nie można ich było znaleźć. Ale jakoś udało mi się ukończyć to tłumaczenie po prawie dwóch latach pracy.

Przetłumaczyłem z hebrajskiego osiem opowiadań Agnona. Również zostały opublikowane przez Wydawnictwo Dolnośląskie. Trudniej mi tłumaczyć z hebrajskiego niż z jidysz. Bo on pochodził z Buczacza i jego hebrajszczyzna jest hebrajszczyzną diasporową, to jest moją i jego stosunkowo łatwiej tłumaczyłem niż innych. Natomiast na przykład proza Amosa Oza zawiera wiele słów lub wyrażeń, które są mi obce. Moje doświadczenia z tłumaczeniami doprowadziły mnie do wniosku, że język polski jest idiomatycznie bliższy jidysz niż hebrajskiemu, pomimo faktu, że jidysz zawiera ogromną liczbę słów hebrajskich, około 20 procent. Moim zdaniem literatura jidysz pozostawiła bogatszą spuściznę dzieł pierwszorzędnych niż literatura w języku hebrajskim. Jest to literatura bardziej światowa, uniwersalna i mniej hermetyczna. W rzeczywistości jestem niespełnionym pisarzem. Celowo niespełnionym. Zdecydowałem, że cokolwiek bym napisał, nie byłoby tak dobre, jak dzieła, które tłumaczyłem.

Przez kilka lat uczyłem hebrajskiego na Uniwersytecie, równoległe z nauką języka jidysz. Przez wiele lat uczyłem w TSKŻ [Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce] - około 700 uczących się obu języków przeszło moje zajęcia. Wciąż uczę jidysz w Teatrze Żydowskim dwa razy w tygodniu.

Większość moich uczniów to Polacy, a nie Żydzi. Ale muszę być nieczuły, ponieważ kiedy ich uczę, nie obchodzi mnie to w najmniejszym stopniu. Ci młodzi Żydzi dzisiaj pochodzą z innego świata. A ci Polacy też nie są w pełni z tego świata. Gdzieś się spotykają. Jest grupa, która uczyła się ze mną jidysz od lat, wszyscy Polacy. Studiowaliśmy literaturę jidysz i omawialiśmy ją w jidysz. Teraz postanowili spotykać się w prywatnym mieszkaniu, aby porozmawiać w języku jidysz. I oni to robią. To rodzaj klubu polskich jidyszistów.

Jaki był mój pierwszy język: jidysz czy hebrajski? To dylemat, który Żydzi mieli od narodzin swojej świadomości narodowej. Żydzi zawsze używali kilku języków. Był to albo hebrajski i aramejski, albo hebrajski i grecki dla elity. Za czasów babilońskich częściej używano aramejskiego niż hebrajskiego. Później, w czasach perskich, elita pisała po persku i po aramejsku. Następnie przyszedł język arabski; w końcu Majmonides pisał po arabsku. Później przetłumaczył arabski na hebrajski. Potem był język hiszpański i żydowski język ladino, potem niemiecki i stąd dawny język jidysz - starożydowski. Mówiąc we wszystkich tych językach, Żydzi zawsze używali hebrajskiego w piśmie. Kiedy rozpoczęły się krucjaty, Żydzi zostali zamknięci w gettach, a ich niemiecki zaczął się pogarszać, zmieniając się w żargon, ponieważ został odcięty od niemieckiego korzenia. Współczesny jidysz rozwinął się ze starożydowskiego na początku XX wieku. W Talmudzie napisano, że grecki jest najlepszym językiem do śpiewania, łacina by dowodzić armią, hebrajski aby opowiadać historię, a aramejski, żeby mówić. Dodam, że to, co najlepsze z tych wszystkich języków można znaleźć w jidysz.

Miałem okres w życiu, kiedy hebrajski zyskiwał przewagę nad jidysz. To była ideologia, syjonizm. Jednak nigdy całkowicie nie opanowałem hebrajskiego. W naturalny sposób wchłonałem jidysz. Jidysz jest dla mnie bardziej emocjonalny. Przeklinasz w nim, błogostawisz w nim, wyrażasz w nim swoje pierwsze uczucia. Do dziś liczę w jidysz, nie po polsku. Mam bliskie relacje z Polakami. Był czas, kiedy na pamięć znałem „Bieniowskiego”, Kochanowskiego, Asnyka. A dzisiaj? Od czasu do czasu rozmawiam w jidysz z tymi, którzy przyjeżdżają odwiedzić ten kraj. Tu, w Warszawie, nie ma nikogo, z kim mógłbym rozmawiać w jidysz. Tylko z Kacem [Daniel Kac, jeden z ostatnich żyjących jidyszystów, pisarz], który często mnie wzywa, by zadać pytanie: „Co to jest po polsku?” i nie rozmawiamy po polsku, ale po żydowsku.

Jest wielu, których nauczyłem jidysz. Niektórzy tłumaczą, inni uczą jidysz na uniwersytetach. Był jeden chłopak, który uczył się ze mną przez kilka lat. Przyjechał nocnym pociągiem z Poznania i uczyłem go za darmo, ponieważ zdałem sobie sprawę, że był bardzo utalentowanym chłopcem. Przetłumaczył „Ulicę” Rabona. Zrobił to dość dobrze, więc będzie ktoś, kto będzie kontynuował tę pracę. Dla mnie jest ważne, żeby ta seria tłumaczeń była kontynuowana. Przed 1968 chodziłem regularnie do teatru żydowskiego, oczywiście w cywilnym ubraniu. We Wrocławiu, gdzie uczyłem w Szkole Piechoty, chodziłem też na wszystkie przedstawienia. Teatr w Warszawie znajdował się w baraku przy ulicy Królewskiej, w miejscu, gdzie dziś stoi hotel Victoria. Był to budynek Teatru Wojska Polskiego, później przekazany Teatrowi Żydowskiemu. Po wojnie w Polsce istniały dwa teatry żydowskie. Łódzki teatr Idy Kamińskiej - teatr znajdował się w budynku obecnego Teatru Nowego - i we Wrocławiu. Następnie w latach pięćdziesiątych teatry zostały połączone w jeden, państwowy teatr z siedzibą w Warszawie. To był teatr objazdowy. Pamiętam produkcję „Meira Ezofowicza”, w której Ida Kamińska miała piękną, cichą rolę, a Juliusz Berger zagrał młodego Ezofowicza.

Mój osobisty związek z teatrem żydowskim w powojennej Polsce zaczął się tak naprawdę w 1969 roku. Byłem już emerytem. Stało się to po usunięciu Żydów z polskiej armii. I pewnego dnia zjawił się, nie pamiętam jego nazwiska, przedstawiciel Teatru Żydowskiego po Idzie Kamińskiej. Ida Kamińska wyjechała w 1968 roku i objął wtedy teatr chyba Juliusz Berger. Pierwszy dyrektor, przed Szurmiejem. I zjawił się u mnie chyba jego dyrektor administracyjny, który pochodził z tego samego miasta co ja, z Kowla pochodził. Tak, że on mnie znał. Ja go mniej znałem. On wiedział, że ja znam żydowski, znam hebrajski. Czy bym się nie podjął nauczania języka żydowskiego, nowej generacji aktorów. Po odejściu Idy Kamińskiej pozostało tylko siedmiu aktorów. Cóż, nie można wystawiać z siedmioma aktorami. Zgodziłem się, ponieważ nagle odkryłem w tym cel. Zadanie, które mogłem wykonać. Zaczęła się rekrutacja wśród młodych Żydów, którzy nie wyjechali w 1968 albo 1969 i zacząłem ich uczyć. Potem następnie, po dwóch latach, kiedy oni weszli w tak zwany wiek średni, to następne grupy, które już składały się z mieszanych małżeństw, potem już zupełnie prawie bez Żydów. I przez cały ten czas służyłem w teatrze jako konsultant i tłumaczyłem kwestie na słuchawki [tłumaczenie symultaniczne na język polski].

Wystąpiłem również w dwóch sztukach. Szurmiej wpadł na ten pomysł, aby zaoszczędzić pieniądze. W Izraelu musiałem wystąpić w sztuce, którą przetłumaczyłem z rosyjskiego na jidysz. To był „Zmierzch” Babela. Pamiętam, że po występie w Izraelu niektórzy Żydzi pojawili się za kulisami, by wyrazić swoje oburzenie, że wystawiliśmy tę sztukę. Akcja rozgrywa się na „Mołdawance”, w żydowskim podziemiu, gdzie Antek jest złodziejem, a Mańka jest dziwką - jak żydowski teatr może pokazywać takie rzeczy? Przetłumaczyłem "Dybuk" na polski i grałem szamesa. To było w latach 80. XX wieku już po naszych gościnnych występach w Izraelu.

Pierwszy raz spotkałem Idę Kamińską, kiedy przyjechała do Polski w rocznicę śmierci swojej matki, Estery Racheli Kamińskiej [jednej z największych aktorek teatru żydowskiego w Europie przed II wojną światową], która jest pochowana na cmentarzu żydowskim w Warszawie. Na Zachodzie Ida nie zrobiła spektakularnej kariery. Czuła się głęboko rozgoryczona. Zatrzymała się w hotelu Bristol i chciała się spotkać z aktorami Teatru Żydowskiego. Wszyscy poszliśmy na obiad. Pamiętam nie kończącą się kolejkę polskich aktorów i aktorek, którzy przyszli do teatru, by pokłonić się przed Idą Kamińską i wyrazić swój żal z powodu jej emigracji. W Ameryce napisała książkę ze wspomnieniami, miała kilka występów w telewizji i to tyle. Pojechała do Izraela, żeby tam stworzyć teatr jidysz, ale atmosfera była niesprzyjająca i zgorzkniała wróciła do Ameryki.

Różnica w jakości pomiędzy teatrem za czasów Idy Kamińskiej a teatrem w kolejnym okresie jest ogromna. W jej czasach każda produkcja była ważnym wydarzeniem artystycznym. Wszystko to skończyło się wraz z jej odejściem. Nie mówi się o współczesnym teatrze, ponieważ nie ma o czym mówić. Pustka jest ogromna. Powodem jest to, że nie ma dobrych reżyserów ani dobrych aktorów. Jednak może nie wszystko jest utracone bezpowrotnie. Rośnie nowe i dość aktywne pokolenie, więc kto wie?

Stworzenie Państwa Izrael stanowiło spełnienie marzenia, które pogłębiło się na przestrzeni lat. Państwo Izrael jest jednym z głównych gwarantów ciągłego istnienia narodu żydowskiego. W przeszłości religia zapewniała więź łączącą wszystkich rozproszonych Żydów. Uważam, że wszystkie centra Diaspory powinny być gwarantami istnienia państwa Izrael. Diaspora ma ogromne znaczenie dla Izraela. Nie jestem pewien, czy Izrael to rozumie.

Pierwszy raz pojechałem do Izraela w 1980 roku. Nie miałem żadnego kontaktu z rodziną mojego kuzyna. Pewnego dnia poszedłem do Yad Vashem w sprawie działalności Archiwum Ringelbluma - chcieli, żebyśmy przekazali im archiwum, ale sprzeciwiliśmy się temu pomysłowi, ponieważ bez archiwum cały nasz Instytut [Żydowski Instytut Historyczny] nie ma żadnego sensu. Biorąc jednak pod uwagę, że najcenniejsze dokumenty w Archiwum Ringelbluma były pisane na maszynie lub ręcznie i kalkowane, w niektórych przypadkach nawet pięć razy, a pierwsza kopia jest prawie równie czytelna jak oryginał, mogłem omówić z nimi przekazanie kopii. Zawarliśmy umowę. Przy tej okazji spotkałem mężczyznę, który zaprosił mnie na obiad. Siedzimy więc w jego domu i okazuje się, że jest rodowitym Chełmianinem, a ja udzielałem korepetycji dziewczynom z Chełma, bo było tam żydowskie gimnazjum bez akredytacji, więc jego uczniowie kończyli ósmą klasę w mieście, w Kowlu. Uczyłem jedną młodą dziewczynę, która nazywała się Duniec. Pochodziła z najbogatszej rodziny w Chełmie.

Mój gospodarz zaczął się chwalić swoimi bliskimi relacjami z Beginem, ciągle rzucał nazwiska generałów i tak dalej. Więc mówię do niego: „Słuchaj, czy znałeś Jundowa?” „Ależ oczywiście, że tak. Ale skąd ty go znasz?” „On jest moim najbliższym kuzynem.” Odpowiedział: „Dobrze, ale Jundow nie żyje.” „Wiem, ale jego żona wciąż żyje, a ja nie mam jej adresu. Nie ma jej w żadnej książce telefonicznej, nie mogłem jej znaleźć.” „Zaczekaj chwilę.” - powiedział - „Pracuje w Sztabie Generalnym.” Zadzwoił do sekretariatu i chwilę później dał mi jej numer telefonu i adres. Kiedy zadzwoniłem, wdowa po Januszu odebrała telefon. Oczywiście natychmiast mnie tam zawiózł. Gdy dotarliśmy do jej domu, wszyscy już tam byli, cała rodzina. Byłem bardzo wzruszony.

Kiedy przyjechaliśmy z Teatrem Żydowskim w latach 80. XX wieku, było to wielkie wydarzenie, ponieważ granice nagle zostały otwarte. Nie mogliśmy udać się bezpośrednio do Izraela, tak długo jak nie było dobrych stosunków dyplomatycznych, więc pojechaliśmy najpierw do Belgradu - gdzie nasi aktorzy wystąpili w amerykańskiej serii „The Winds of War” - a stamtąd wybraliśmy się do Izraela. Na lotnisku czekał na nas tłum dziennikarzy. Nie mówili w jidysz. Reżyser powiedział w pewnym momencie: „Macie trudne zadanie, ale mamy tu Friedmana - on mówi po hebrajsku.” Więc otoczyli mnie jak przysłowiowe pszczoły. I rozpoczął się wywiad. Nie używałem tego języka przez sześćdziesiąt lat, ale podczas tej rozmowy czułem się tak, jakbym właśnie skończył moje lekcje. Moi szkolni koledzy, którzy wyjechali w latach trzydziestych, zobaczyli nasze przybycie w telewizji i zaczęli dzwonić do hotelu. To przyjęcie na lotnisku kosztowało mnie nieprzespaną noc, ponieważ wszyscy dzwonili. Moja ostatnia wizyta w Izraelu miała miejsce podczas Światowej Rady Jidysz, jakieś osiem lat temu.

W Polsce mamy niewielką społeczność żydowską podzieloną na szereg organizacji i stowarzyszeń. Mamy dwa żydowskie czasopisma. Zasadniczo mamy wszystkie cechy wielkiej wspólnoty, z tym wyjątkiem, że brakuje ludzi. Gdy ktoś pyta: „Czego potrzebują polscy Żydzi?” odpowiadam: „Żydów.” Zawsze są dwa punkty widzenia: jeden pesymistyczny i drugi optymistyczny. Niektórzy dostrzegają w młodych ludziach nadzieję. Pociągają ich sprawy żydowskie, mimo że często mają katolickie pochodzenie. Może się tu rozwinąć nowy typ społeczności żydowskiej, ale byłby on bardzo różny od historycznej społeczności Żydów polskich.

W 1991 roku do Warszawy przyjechał Miles Lerman, pierwszy dyrektor Muzeum Holokaustu. Nie mieli zbyt wiele materiałów do muzeum, chociaż gromadzili je na całym świecie. Powiedział „Pomogę Ci z archiwami, ale pożyczysz nam jedną z dwóch puszek po mleku Ringelbluma.”

Zrobiliśmy to, pożyczając, jak to mówią, na wieczność, mając świadomość, że nigdy tego nie zwrócą. Niemniej jednak nalegaliśmy, aby była to pożyczka. [Pojemnik na mleko został wypożyczony na wystawę do Muzeum Holokaustu w 1991 roku. Umowa depozytowa jest odnawiana co pięć lat.]

To było prawdopodobnie w 1991 roku podczas jednej z wizyt papieża Jana Pawła II w Warszawie. Papież wyraził chęć spotkania ze społecznością żydowską. W tym czasie istniał tak zwany Komitet Koordynacyjny zrzeszający kilka żydowskich organizacji. Byłem wówczas przewodniczącym Żydowskiego Instytutu Historycznego i przewodniczyłem, w ramach systemu rotacyjnego, Komitetowi, który obejmował także JSCS i żydowską wspólnotę religijną. Byłem pod ogromnym wrażeniem jego dobroci serca i bezpośredniości. Czuliśmy, że mamy do czynienia z osobą o wyjątkowym znaczeniu w historii papiestwa. Powitał nas tak, jakbyśmy się znali. Zaprosił mnie nawet, abym usiadł obok niego. Myślą przewodnią mojego wystąpienia, oprócz słów uznania dla papieża, który zajął pozytywne stanowisko wobec Żydów, była prośba o podjęcie wysiłków na rzecz dyplomatycznego uznania Izraela.

Papież jest człowiekiem sprawiedliwym, jak cadyk. I w oczach mędrców z Talmudu i kabalistów taki człowiek w hierarchii świętości i ważności jest wyżej niż aniołowie. Aniołowie śpiewają pieśni pochwalne i wykonują polecenia, podczas gdy cadyk, chasyd lub sprawiedliwy człowiek czasami ma szansę zmienić sąd Boży, ponieważ jego prośby, kierowane bezpośrednio, mogą zostać spełnione. Anioł dostaje polecenie, żeby zejść na ziemię, aby chronić tego człowieka, podczas gdy cadyk robi to z własnej woli. Z tego powodu stoi wyżej niż anioł w hierarchii ważności.

Od czasu wizyty papieża dialog chrześcijańsko-żydowski jest bardziej widoczny w Polsce, co jest niezwykle potrzebne. Kumulacja stereotypów była w Polsce znacznie większa niż gdziekolwiek indziej. Na przykład ostatnio pojawił się problem zaangażowania Polaków w ratowanie Żydów. I rzeczywiście, istnieje stereotyp, że w czasie wojny Polacy byli szmalcownikami i antysemitami. Nawet sprawiedliwi spośród Polaków nie obnosili się z tym, co zrobili.

Czy Polska jest krajem antysemitycznym? Polska to kraj, w którym są także antysemitami. Normalnie to jest, w Polsce ludyczny trochę, trochę śmieszny antysemityzm obrzędowy. Ale Polska jest również krajem, w którym istnieje ogromna liczba ośrodków, które sprzeciwiają się antysemityzmowi. Muszę powiedzieć, że z wyjątkiem polityki prowadzonej w wojsku nie doświadczyłem antysemityzmu. Miałem to szczęście, że zawsze znajduję się w bardzo postępowym towarzystwie.